Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 111 (Rok VII, Nr 16) Czerwiec, 1947 Cena (Price) 2/6

"SCHIZMA" NASZYCH CZASÓW

MINISTER BEVIN, zamykając niedawną debatę zagraniczną w Izbie Gmin, wyraził się, że do porozumienia dochodzi niekiedy w ostatniej chwili — na minutę przed dwunastą. Tą ostatnią chwilą, jego zdaniem, będzie listopadowa konferencja "wielkiej czwórki" w Londynie, "najdonioślejsza prawdopodobnie konferencja w dziejach świata".

Nic jednak nie wskazuje na to, by rozmowy listopadowe spowodować mogły zasadniczy zwrot w powojennej sytuacji międzynarodowej. Kontury i tendencje rozwojowe tej sytuacji rysują się z każdym miesiącem coraz wyraziściej. Być może dojdzie w Londynie do jakiegoś przejściowego *modus vivendi* w sprawie Niemiec; być może, że Rosja, wyczerpawszy pod naciskiem amerykańskim swe możliwości gry na zwłokę, którą uprawiała tak skutecznie w ciągu ostatnich dwóch lat, zmuszona będzie na tym odcinku do ustępstw i opuszczenia pewnych, nawet ważnych pozycji. Wszakże, jeśli tak się stanie, nie będzie to wyrazem rozładowania przeciwieństw, lecz raczej jednym z dalszych etapów politycznego zmagania się dwóch wielkich obozów zbrojnych, na jakie podzielił się świat dzisiejszy, — zmagania, które w zmieniających się częściowo postaciach trwać będzie nadal z niesłabnącym napięciem.

Przyczyny owej wielkiej "schizmy" naszych czasów — jak ją nazwał Churchill w jednym ze swych, "appeaserskich" zresztą przemówień lat temu parę — są złożone i mało mają analogij w dziejach. Stanęły dziś na przeciw siebie dwa największe w świecie ośrodki zorganizowanej energii ludzkiej, nie tylko rozporządzające ogromnymi obszarami — dającymi, w pewnym przynajmniej stopniu, zabezpieczenie przed nagłym, obezwładniającym atakiem, — ale także samowystarczalne w zakresie zasobów naturalnych i rąk do pracy. Stany Zjednoczone przeżywają dziś okres, jaki lat temu kilkadziesiąt był udziałem Anglii Cecila Rhodesa, Joe Chamberlaina i Kiplinga — okres upojenia poczuciem własnej potęgi imperialnej i gospodarczej. W odpowiednio zmienionej formie da się to samo powiedzieć o Rosji, która w ciągu ostatnich lat trzydziestu zamieniła się z kraju niemal wyłącznie rolniczego i zacofanego ekonomicznie w stosunku do Zachodu — na państwo o wielkim nowoczesnym potencjale gospodarczym i militarnym. Prawda, że przemiana ta odbyła się i odbywa w dalszym ciągu kosztem niedożywiania i wszelkiego rodzaju udręczeń ludności Związku Sowieckiego, — jednak ten *handicap* w stosunku do Ameryki wyrównywany jest w pewnym stopniu przez większą płodność i żywotność narodu rosyjskiego.

Prawa fizyki politycznej wskazują, że wielki organizm państwowy, przeżywający dynamiczne stadium swego rozwoju, objawia zawsze — tą czy inną drogą — tendencje do rozszerzania się terytorialnego i gospodarczego; w razie zaś zetknięcia się dwóch takich organizmów konflikt staje się jeśli nie nieunikniony, to w każdym razie bardzo prawdopodobny. Szanse jego powiększają się jeszcze znacznie, gdy do samorodnego antagonizmu potencjałów materialnych dochodzą podstawowe przeciwieństwa doktrynalne, cywilizacyjne i ustroju społeczno-gospodarczego. Dzisiejsi władcy Rosji z fanatyzmem, właściwym ruchom religijnym, nie tylko głoszą, ale i wierzą głęboko, że ustrój kolektywistyczny, oparty o doktrynę materializmu dziejowego, zapanować musi nad całym światem, — ale że proces ten nie obędzie się bez starć z aktywnymi jeszcze ośrodkami kapitalizmu. Wprawdzie Stalin i jego otoczenie na Kremlu stawiają na kartę serii wielkich kryzysów gospodarczych w Stanach Zjednoczonych, które spowodują zawalenie się ostatniej "twierdzy" ustroju kapitalistycznego od wewnątrz, — równocześnie jednak przywódcy sowieccy pełni są obaw przed "kapitalistycznym okrążeniem" Z.S.S.R. Dlatego też dalsze forsowne zbrojenia sowieckie, chwytanie obszarów strategicznych, potoki propagandy na użytek wewnętrzny i zewnętrzny, działalność "piątych kolumn" komunistycznych w krajach Zachodu — wszystko to, w pojęciu polityków sowieckich, posiada charakter zarazem ofensywny i obronny.

Jeśli chodzi o ekspansję Stanów Zjednoczonych, to do niedawna była ona przede wszystkim ekspansją dolara i przedsiębiorczości amerykańskiej. Poczucie antagonizmu ideowego i cywilizacyjnego — w skali międzynarodowej, a nie tylko wewnętrznej—oraz zagrożenia militarnego jest w Ameryce zjawiskiem stosunkowo świeżej daty; penetracja komunistyczna i wynalazek broni atomowej spełniły tu rolę głównego bodźca psychicznego. Reakcja wyraziła się w ostatnich miesiącach znanymi posunięciami finansowymi i militarnymi Waszyngtonu.

Weszliśmy w okres pokoju zbrojnego, opartego o zasadę podziału świata na dwie wielkie "strefy bezpieczeństwa". Jak długo okres ten potrwa, trudno dziś przewidzieć; jego cechami charakterystycznymi będą dalszy wyścig zbrojeń, zwłaszcza w dziedzinie nowoczesnych broni niszczących, oraz — przynajmniej ze strony Rosji wciąż jeszcze technicznie bardzo zapóźnionej — dążność do odłożenia ostatecznej rozgrywki. Sprzyjać temu będą antywojenne nastroje społeczeństw Zachodu, — w przeciwnym natomiast kierunku, niezależnie od wyżej wymienionych czynników "długofalowych", działać będzie w Ameryce obawa przed "mieczem Damoklesa," jakim stałaby się broń atomowa w rękach sowieckich, oraz trudność współistnienia w świecie dwóch wielkich, niemal hermetycznie odciętych od siebie obszarów gospodarczych. Trudność ta jest odczuwana coraz dotkliwiej przez gospodarkę amerykańską.

Nie trzeba przekonywać, że nowa wojna — przy obecnym stanie techniki niszczenia — byłaby groźnym ryzykiem dla obu stron, a dla Sowietów w szczególnej mierze. Mimo to działanie obiektywnych sił historii zdaje się nieuchronnie popychać w kierunku rozstrzygającego starcia w bliższej czy dalszej przyszłości. Coraz widoczniejszym się staje, że grożącej katastrofie zapobiec może tylko czynnik świadomej woli ludzkiej — przy czym rola Rosji jest tu decydująca. Zaniechanie przez Moskwę dalszej akcji w kierunku komunizowania świata i całkowite jej wycofanie się z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, których niepodległość jest niezbędnym warunkiem należytego rozmieszczenia sił moralnych i politycznych na kontynencie europejskim i w świecie, przynieść by mogło powszechne odprężenie na długi okres czasu i stać się podstawą do rzeczywistego porozumienia mocarstw w sprawie Niemiec oraz Dalekiego i Bliskiego Wschodu. Jak dotąd brak jednak jakichkolwiek oznak, by wypadki taki właśnie przybrać miały obrót.

M. E. ROJEK

O NIEKTÓRYCH FIKCJACH I KONCEPCJACH

we współczesnej polityce polskiej

I.
JEDNA POLITYKA POLSKA

W OBECNYM położeniu Europy i świata przed polityką polską stoją następujące istotne cele i zadania: odzyskanie niepodległości; utrzymanie przy Polsce Ziem Odzyskanych, czyli utrwalenie naszej granicy zachodniej na Odrze i Nisie Łużyckiej; odzyskanie utraconych Ziem Wschodnich oraz odpowiednie uregulowanie granic i zagadnień wschodnich; przyczynienie się do utworzenia takiego nowego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej, jaki by poprzez współpracę i związki wzajemne zapewniał wszystkim tamtejszym narodom bezpieczeństwo od zaborczości niemieckiej, sowieckiej lub jakiejś nowej rosyjskiej; opracowanie takich form ustroju społecznego i politycznego, jakie pozwoliłyby połączyć siłę Polski i nowego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej z zasadami cywilizacji europejskiej, t.j. przede wszystkim wolnością i godnością jednostki ludzkiej z jednej strony oraz sprawiedliwością społeczną z drugiej strony.

Zadania te nie są i nie powinny być wyłączną własnością jakiegoś jednego tylko obozu lub ruchu niepodległościowego, gdyż naród polski nie dzieli się bynajmniej na takich, co do niepodległości dążą, i takich co chcą żyć w niewoli. Nie ma co tworzyć wśród Polaków sztucznych podziałów; cały naród — jego olbrzymia większość bez względu na miejsce przebywania czy wewnętrzne różnice polityczne — dąży do odzyskania niepodległości. Celowi temu przeciwstawiają się tylko komuniści, którzy z istoty swoich wierzeń politycznych podporządkowani są obcej koncepcji i dyspozycji politycznej, oraz ich agenci. Obie te grupy, nawet zliczone i dodane do siebie, stanowią nieliczną stosunkowo formację, która przy odpowiedniej zmianie w międzynarodowym układzie sił zmieciona zostanie z rzeczywistości politycznej przez żywe siły narodu.

Podział na Kraj i emigrację nie może stawać się podziałem na orientacje polityczne. Jest to podział przymusowy, sztuczny, stworzony przez przemoc zewnętrzną i dla Polaków musi on takim pozostać i nie przemienić się w podział polityczny lub moralny. Jeden jest naród polski i cały on stanowi obóz niepodległościowy. Naród ten może mieć jedną tylko politykę, którą prowadzić muszą praktycznie Polacy rozumiejący na czym ona polega i mający do tego odpowiedni tytuł polityczny. Nie mogą oni pozwolić na narzucenie sobie szkodliwych i dla sprawy naszej niebezpiecznych kategorii myślenia, nie mogą dać się podzielić wedle kryteriów, które naszą zbiorową siłę pomniejszają i osłabiają.

A więc nie obóz niepodległościowy, ale cały naród polski dąży do niepodległości. I nie ruch niepodległościowy jest praktycznym wyrazem tego dążenia, ale polityka polska. Musi to być jedna polityka i cele jej muszą być wszędzie te same. Położenie geograficzne czy lokalna sytuacja polityczna mogą dyktować tylko odmienne formy zachowania się lub działania, ale nie zmieniać nigdzie treści. Dlatego też odmienność ta nie może nigdzie przekroczyć pewnych granic, zakreślonych z jednej strony koniecznościami warunków obiektywnych, niezależnych od woli ludzkiej — z drugiej zaś zasadami moralnymi naszej chrześcijańskiej cywilizacji, wspólnymi celami narodowymi, normalnymi kryteriami służenia swojemu narodowi, a nie najeźdźcy i jego agenturze, a wreszcie poczuciem honoru zarówno w skali narodowej jak i osobistej. Nie ulega wątpliwości, że w każdym poszczególnym wypadku można będzie bez trudności ustalić w swoim czasie, kto pilnował interesu narodowego, a kto był oportunistą szkodliwym politycznie i społecznie, lub posunął się aż do zaprzaństwa i zdrady. Wcale też nie będzie trudne ustalenie i następnie zrealizowanie odpowiedzialności politycznej lub osobistej, czy też równocześnie jednej i drugiej. Do ustalania tej odpowiedzialności powołani być mogą naturalnie tylko ci, którzy na podstawie obserwacji i przeżyć własnych nadają się do bezstronnego ocenienia faktów, do sumiennego rozważenia okoliczności szczególnych oraz do wniknięcia w motywy.

II.
FIKCJE I KONCEPCJE

Często się mówi w emigracyjnych dyskusjach prywatnych o fikcjach. Jest to pojęcie, którym powinno się operować bardzo ostrożnie. Nadaje się ono lepiej do — również niepublicznych — dyskusji krajowych. Wszyscy poczuwający się w Kraju do obowiązku myślenia i troszczenia się o całość sprawy narodowej powinni bardzo starannie odróżniać fikcję od rzeczywistości. W Kraju znajduje się trzon naszej rzeczywistości narodowej, ale z drugiej strony polityka partii komunistycznej, która obecnie rządzi w Polsce, bardzo często stara się narzucić zbiorowej świadomości społeczeństwa pewne fikcje, kategorie myślenia wysmażone w bolszewickiej kuchni dialektycznej, które rzeczywistość zniekształcają, lub nawet żgoła przedstawiają ją inną, odmienną, nierealną, sfałszowaną. Co prawda, wystarczy w Kraju przyłożyć do każdej fikcji komunistycznej zwyczajną miarę zdrowego chłopskiego rozsądku, zaprawioną niekiedy dawką tak znanego, i czasami nieznośnego a tak bardzo przydatnego obecnie, polskiego kpiarstwa, żeby wyszło na jaw o co właściwie chodzi.

Emigracja powinna również wystrzegać się jak ognia fikcji, bujania w obłokach, budowania zamków na lodzie. Z drugiej jednak strony emigracja powinna umieć odróżniać fikcję, ułudę i pustkę pewnych konstrukcji myślowych, od koncepcji politycznych, które są zasadniczo zdrowe i realne, choć czas ich realizowania jeszcze nie nadszedł. Kraj nie ma możności wysuwania swoich własnych koncepcji politycznych, gdyż musi żyć w kręgu koncepcji narzucanych mu przez reżim komunistyczny. Zwalczać i osłabiać te obce koncepcje Kraj może od wewnątrz, nie od zewnątrz. Emigracja natomiast może tworzyć koncepcje, choć powinna przy tym procesie twórczym trzymać się gruntu realnego t.j. realnej oceny sił i przyszłych możliwości zmian, oraz wypróbowanych doświadczeniem historii form zachodniego myślenia, planowania i działania. Formułowanie koncepcji politycznych, których nie można poddać natychmiastowej wszechstronnej próbie życia, traktować trzeba bardzo ostrożnie, ale nie można się wyrzec tego prawa i przywileju zarazem w prawdziwej, samodzielnej polityce narodowej. Jeżeli bowiem nie będzie się miało własnej koncepcji politycznej co do kierunku wydarzeń, co do celu jaki osiągnąć się pragnie oraz co do form w jakich się ma działać, narażonym się będzie na świadome lub nieświadome służenie koncepcjom obcym. Emigracji nie mniej niż Krajowi zagrażają na każdym kroku koncepcje obce, ale emigracja nie może mieć na swoje usprawiedliwienie tych wszystkich racji, które ważą w rzeczywistości krajowej.

Koncepcję można określić — dla uwypuklenia obrazu — jako fikcję, która przez realizację ma się stać rzeczywistością. Realizacja zaś następuje wtedy, kiedy zachodzą odpowiednie warunki zewnętrzne, obiektywne, oraz istnieje nieosłabiona okresem przygotowawczym wola do realizacji. Sam fakt istnienia polskiej emigracji politycznej, dążącej do przywrócenia Polsce niepodległości, wskazuje, że zasadnicze polskie koncepcje polityczne nie mogą być na razie realizowane, lecz czekać muszą na zmiany w sytuacji międzynarodowej.

Z powyższego wynika, że nie możemy odrzucać *tout court* jako fikcji każdej danej koncepcji, czy danego programu i planu działania, dlatego tylko, że nie są one jeszcze w stadium realizacji. Wrogowie nasi zacieraliby ręce z radości, gdybyśmy odrzucili jako fikcje najważniejsze nasze kategorie zespołowego działania narodowego. Oni sami nieraz stosowali w polityce swojej fikcje, które następnie dopiero realizowali w życiu. Fikcją taką był np. Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Fikcja ta zaznaczyła się w naszym życiu narodowym jako rzeczywistość, kiedy stanęła za nią na ziemi polskiej siła sowiecka. Kiedy dojdzie do zasadniczej zmiany w położeniu międzynarodowym— o której wątpić nie możemy, gdyż zapowiadają ją wszystkie znaki na niebie i ziemi,— siła sowiecka będzie musiała ustąpić z Polski i wtedy nadejdzie czas na nasze koncepcje, przez wielu uważane teraz za fikcje.

III.
KONCEPCJE PODTRZYMYWANE WIDOMIE NA EMIGRACJI

Rozważmy teraz w świetle tego co wyżej powiedziane niektóre nasze zagadnienia emigracyjno-polityczne. Jak mamy na emigracji zachować się politycznie i działać, by nasz cel osiągnąć? Jak mamy się ugrupować i w jaki szyk sformować?

Cele nasze są polityczne, zachowywać się więc i działać musimy politycznie i uszykowani musimy być politycznie. Tysiąc ludzi nawet zebranych razem, lecz nie uszykowanych wedle żadnej koncepcji nie liczy się w ogóle; w pewnym specjalnym szyku może być batalionem piechoty, liniową częścią dywizji czołgów, stronnictwem lub zgoła całym nawet systemem politycznym.

Podstawową koncepcją całej naszej rzeczywistości emigracyjno-politycznej jest dotąd i nadal powinna pozostać legalność wyrażająca się w istnieniu na emigracji zespołu najwyższych czynników państwowych, uznawanych w swoim czasie przez wszystkie państwa po tej stronie frontu wojennego. To międzynarodowe uznanie zostało prawie w całości wycofane, nie zostało jednak wycofane uznanie ze strony narodu polskiego. Uznanie międzynarodowe może być kiedyś znowu przywrócone, gdyż jest ono zawsze tylko funkcją pewnego układu

sił w rzeczywistości międzynarodowej, uznanie narodu natomiast może i powinno być przeniesione w odpowiednim momencie z jednego zespołu osób na inny, bardziej dostosowany do konieczności działania w zmienionej sytuacji, nie może jednak być cofnięte instytucjom jako takim. Ta pozorna fikcja legalności państwowej może stać się w przyszłości bardzo ważnym i realnym czynnikiem w walce o własną osobowość i niezależność polityki polskiej. Jest to również najpoważniejsza koncepcja utrzymania ciągłości państwa polskiego, która w okresie chaosu, jaki ogarnąć może na pewien czas Europę podczas nowej fazy przewrotów i zmian, będzie miała niewątpliwie duże i może nawet decydujące dla pewnych spraw znaczenie praktyczne.

Jeśli więc dzisiaj słyszeć można na emigracji głosy — nieraz ze strony, z jakiej się ich raczej nie oczekiwało,— że trzeba odstąpić od tej "fikcji," gdyż legalne czynniki państwowe nie mogą z natury rzeczy na emigracji działać, to wypada zapytać takich niecierpliwych doradców powtarzających nieraz naiwnie cudze podszepty, co oni proponują na miejsce legalności? Jaką inną rzeczywistość, koncepcję lub fikcję?

Koncepcja legalności uzewnętrzniona jest w instytucji i osobie legalnego Prezydenta oraz rządzie, który razem z Prezydentem miał w swoim czasie legalny status międzynarodowy. Jeśli idzie o Prezydenturę, jest to instytucja jednoosobowa, której obsadzenie w warunkach emigracyjnych jest wystarczająco ściśle określone, by dyskusja publiczna na ten temat mogła wnieść tu coś nowego i zasadniczego.

Natomiast jeśli idzie o rząd na emigracji, to wobec tego, że jest to instytucja wieloosobowa, stosowane być mogą — teoretycznie sprawę traktując — przy jej obsadzaniu czy przekształcaniu różne kryteria. Możność stosowania różnych kryteriów w tej dziedzinie jest jednak — moim zdaniem — w warunkach emigracyjnych raczej pozorna. W naszej sytuacji wielkiego wyboru co do podstaw rządu nie ma i pewne zasady z konieczności muszą mieć pierwszeństwo przed innymi.

Pierwszą taką zasadą jest *polityczny* charakter rządu. W społeczeństwach cywilizowanych naszego okresu historycznego zasada ta z reguły nie jest kwestionowana. Niestety rzeczywistość polityczna polska jest pod tym względem wyjątkowa. Rządy grupy opartej na kulcie jednostki, funkcjonujące w Polsce przez ostatnich lat kilkanaście przed wojną, wyprodukowały całą warstwę inteligencji, przede wszystkim urzędniczej i wojskowej, która ma tak mętnie w głowach, iż nie rozumie — a czasem udaje, że nie rozumie — tej prostej zasady, iż państwo jest organizmem politycznym i że naczelny organ państwa — rząd — również musi mieć charakter polityczny, że więc zbudowany być musi wedle zasad politycznych. Jest to w warunkach polskich tym bardziej ważne, iż najazd sowiecki ma swoje wyraźne oblicze polityczne, swoją koncepcję i nawet filozofię polityczną i że na te czynniki polityczne odpowiadać należy w sposób polityczny, nowoczesny, mobilizujący maksimum sił narodowych, a zarazem jasny i zrozumiały dla świata.

Z tej pierwszej ogólnej zasady o polityczności rządu oraz oporu polskiego przeciw najazdowi sowieckiemu wysnuć należy — dla uporządkowania problemu — szereg zasad bardziej szczegółowych, ale równie ważnych.

Wysuwa się tu na czoło zasada, że legalny rząd polski na emigracji nie może być reprezentacją emigracji, lecz musi zachować swój charakter szerokiej polityczno-ideowej reprezentacji narodu polskiego. Rząd, który nie stara się być reprezentacją emigracji, to sformułowanie pozornie tylko paradoksalne, t.j. wedle intencji autora prawdziwe lecz wypowiedziane w sposób niezwykły. W rzeczywistości jest to twierdzenie prawdziwe, wypowiedziane w sposób zwykły. Odrzucamy tezę, iż do niepodległości dąży tylko jakiś obóz niepodległościowy, który przeciwstawia się reszcie narodu rzekomo wobec tego zagadnienia obojętnej. Od tej bowiem tezy krok tylko do następnej, że do niepodległości dąży wyłącznie emigracja, a od tej znowu do następnej, że rząd reprezentuje wyłącznie emigrację i powinien być wyłaniany wyłącznie przez emigrację.

Gdybyśmy te tezy przyjęli za podstawę naszej koncepcji walki o niepodległość, nie moglibyśmy lepszej przysługi wyświadczyć komunistom w Moskwie i Warszawie, tak zajadle walczącym o utrzymanie pozycji polskiej w swoim ręku. Mogliby wtedy proklamować, iż polska emigracja polityczna sama uznała, że reprezentuje wyłącznie siebie, że opiera się wyłącznie o własne siły, to znaczy — wedle interpretacji komunistów — wyłącznie Polskę "reakcyjną" "faszystowską," "sanacyjną" i.t.d.

Następną z kolei, choć równie ważną, zasadą i formą zarazem, w jakiej polityka polska występować winna wobec świata, jest jedność narodu i jego najważniejszych celów narodowych i zadań politycznych. Głównym instrumentem bowiem polityki komunistycznej i sowieckiej w Polsce jest *rozbijanie* narodu na "demokrację" i "reakcję," to znaczy rzekomo na tych, którzy chcą postępu i rozwoju Polski, oraz tych, którzy za wszelką cenę starają się obronić swoje feudalne przywileje, którzy więc nie myślą o dobru całości lecz tylko o własnej korzyści, których wobec tego trzeba za wszelką cenę i bez przebierania w środkach — zniszczyć. Kto taki podział przyjmuje, kto poddaje się tej fikcyjnej kategorii komunistycznej dialektyki, ten pomaga komunistom politycznie, choćby zamiary jego były całkowicie inne.

Jedność co do zasadniczych celów i dróg, po których się ma dążyć, nie może bynajmniej oznaczać *jednolitości*. Pierwszą bowiem przesłanką cywilizacji europejskiej jest wolność sumienia jednostki, a więc wolność poglądu politycznego, łącząca się oczywiście z przyjęciem odpowiedzialności za wyznawane poglądy. Jest to wolność nie anarchii, ale wolność przekonywania innych o tym, jak powinno być urządzone społeczeństwo, oraz jakie powinno być stanowisko jednostki w społeczeństwie.

Skoro wolność ta jest zasadniczą przesłanką naszej cywilizacji i płynących z najgłębszych jej źródeł zasad ustroju prawdziwie demokratycznego, każdą jednostkę i każdą grupę polityczną w naszym świecie pojęć obowiązuje zasada, iż może istnieć również inny pogląd na sprawy publiczne niż jej własny. Wspólnym naszym poglądem jest — jeśli sprowadzimy problem do najprostszego schematu—, że możemy mieć różne poglądy. Ten pogląd jest całkowicie obcy doktrynie komunistycznej, której podstawową zasadą jest, że kto wyznaje inne poglądy, jest zbrodniarzem, "bestią faszystowską na dwu nogach" wedle oficjalnej terminologii sowieckiej, którą to bestię należy zaścigać na śmierć, zlikwidować, zabić, zniszczyć.

Cywilizacja zachodnia została zbudowana w ciągu wieków przez realistów, znawców natury ludzkiej i natury ludzkiego społeczeństwa. I dlatego wolność poglądów w społeczeństwie zachodnim nie doprowadza bynajmniej do tego w praktyce, by tyle było poglądów w społeczeństwie, ile jest jednostek. Jednostki o podobnych poglądach na sprawy społeczne łączą się w grupy zwane pospolicie stronnictwami, partiami, lub ruchami politycznymi.

W obecnych warunkach wiadomo jest, że temu ruchowi politycznemu, jaki obecnie w Polsce reprezentuje zarówno totalizm i dyktaturę komunistyczną jak imperializm i zabór sowiecki, przeciwstawiają się wszystkie polskie ruchy ideowo-polityczne: narodowy, opierający się o indywidualność narodową i osobowość historyczną Polski oraz uniwersalizm chrześcijańskiej cywilizacji zachodniej; chrześcijańsko-demokratyczny kładący jeszcze silniejszy nacisk na łączność z uniwersalną doktryną społeczną wypracowaną przez katolicyzm pod przewodnictwem Papieży w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu; socjalistyczny, oparty w najgłębszych swoich założeniach na wartościach humanistycznych i akcentujący ich stronę międzynarodową, a odcinający się od komunizmu odrzucającego wolność jednostki, a więc główny element humanistyczny w teorii socjalistycznego postępu społecznego. Niestety, w szeregu tym nie znajduje się ostatnio Polskie Stronnictwo Ludowe, którego przywódca popełnił historyczny błąd przyjmując bez żadnych gwarancji realnych współpracę polityczną z komunistami i odrzucając zasadę legalności Państwa Polskiego. Niemniej postawa członków Polskiego Stronnictwa Ludowego, choć tak wplątanego w sprzeczności wynikające z błędnego kierownictwa, nie pozostawia żadnych wątpliwości co do ich prawdziwych poglądów.

Wszystkie duże i poważne polskie ruchy ideowo-polityczne wypowiadają się przeciw dyktaturze komunistycznej oraz interwencji sowieckiej w Polsce i ten fakt polityczny uzewnętrznia się w składzie polskiego legalnego rządu na emigracji. Można zmieniać — wtedy kiedy to będzie wskazane realnymi potrzebami i możliwościami — skład osobowy tego rządu, można będzie zasadę przedstawicielstwa ideowo-politycznego narodu polskiego uzupełniać i korygować innymi dodatkowymi elementami myśli i praktyki politycznej, nie można jednak od niej odstąpić.

Zasada nieprzerwanej ciągłości instytucji państwowych polskich, podmiotowości i suwerenności Polski w stosunkach międzynarodowych, podtrzymywania wielu zasadniczych roszczeń państwowych wtedy, kiedy sytuacja międzynarodowa się zmieni, a więc krótko zasada legalności musi być — naszym zdaniem — punktem wyjścia prawdziwej niezależnej polityki polskiej i walki o niepodległość. Dopiero jakieś wydarzenia, nie dające się dzisiaj przewidzieć, mogłyby politykę polską zmusić do odstąpienia od tej zasady i przyjęcia jakiejś nowej koncepcji w walce o niepodległość.

Koniecznym uzupełnieniem zasady legalności są zasady dalsze: polityczności rządu na emigracji walczącego z obcą koncepcją i obcym najazdem politycznym; szerokiego przedstawicielstwa ideowo-politycznego narodu; zjednoczenia wszystkich głównych ruchów politycznych polskich w walce o niepodległość i prawo decydowania narodu o swoim losie.

MARIAN EMIL ROJEK

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

POLITYKA JAGIELLONÓW

POLITYKA Jagiellonów była od dawna przedmiotem dyskusji. I to nie tylko polskiej. Także historyków i publicystów rosyjskich, niemieckich i litewskich. Ci obcy ocenili politykę Jagiellonów oraz ich rolę w dziejach Polski w sposób, przynoszący Jagiellonom zaszczyt, jako polskim monarchom. Według tego sądu obcych historyków, najbardziej zainteresowanych w zagadnieniu "unii jagiellońskiej", to dynastia Jagiellonów uczyniła Polskę wielkim mocarstwem; ona postawiła tamę "misji cywilizacyjnej" elementu niemieckiego nad Bałtykiem; ona wydarła masy ludności prawosławnej Rusi i Wschodowi; ona przesunęła panowanie Zachodu i katolicyzmu daleko na wschód; ona zdobyła dla polskości szerokie rzesze nowych Polaków, bez których imię polskie w świecie byłoby mniej głośne, a historia Polski o tyle uboższa: bez Mickiewicza, Sienkiewicza, Słowackiego, bez Chodkiewicza, Wiśniowieckiego, Czartoryskich, Kościuszki. Ze strony pisarzy niemieckich Jagiellonowie spotkali się z uznaniem, w którym niechęć łączyła się z respektem. Pisarze rosyjscy widzieli w nich wrogów Moskwy. Pisarze litewscy uznali ich za zdrajców i nawet przeprowadzili symboliczny "proces" wobec pierwszego i głównego "odstępcy", Władysława Jagiełły.

Ze strony pisarzy polskich oraz polskiej tradycji byli Jagiellonowie przez długi czas wspominani z wdzięcznością i czcią. Wazowie wstępowali kolejno na tron polski, ponieważ byli "kość z kości i krew z krwie, ze starożytnego domu Jagiellonów". Czasy jagiellońskie uznano w pamięci narodu za czasy największej pomyślności, a specjalnie "czasy Zygmuntowskie" sławiono jako złoty okres. Dopiero po rozbiorach, kiedy historycy polscy zaczęli analizować przyczyny upadku, nie oszczędzając także i królów, zaczęto czynić wyrzuty Jagielle, że był zbyt dobroduszny i nie dość twardy wobec Litwinów i Witolda; Zygmuntowi I., że był zanadto podobny w swoim charakterze do dziadka — zbyt miękki; Zyguntowi Augustowi, że był "dojutrkiem". Jan Olbracht i Aleksander nigdy nie mieli wielkiego uznania, więc sąd nowszych historyków niewiele pod tym względem zmienił. Wszystkim tym Jagiellończykom zarzucano zwłaszcza ich wewnętrzną politykę, niezdolność przeciwstawienia się anarchicznym zapędom możnowładców lub szlachty; nieumiejętność wytworzenia systemu państwowego, zdrowego w swoim układzie warstwowym oraz sprężystego pod względem administracyjnym. Na ogół największej uznania miał u historyków polskich, spośród Jagiellończyków, Kazimierz Jagiellończyk, w którym widziano człowieka mocnego, zręcznego i szczęśliwego polityka, monarchę na miarę najwybitniejszych współczesnych monarchów zagranicznych.

Kiedy Polska odzyskała niepodległość, historycy polscy mogli sobie pozwolić na większy objektywizm wobec przeszłości i na większą wyrozumiałość wobec swoich królów. Wyrazem tej zmiany była zwłaszcza praca lwowskiego historyka Ludwika Kolankowskiego, będąca właściwie apoteozą tej naszej dynastii oraz jej polityki.

W następstwie nieszczęśliwej wojny 1939-1945 r. Polska znowu utraciła niezawisłość państwową. Znowu pojawiły się więc prace historiozoficzne, usiłujące katastrofę narodową wiązać ze splotem wypadków w odległej historii, mogących mieć tylko pośredni związek z klęską 1939 r. Gdyby polityka Jagiellonów inna była w sprawie Prus, może nie byłoby potężnych, zjednoczonych Niemiec; gdyby Jagiellonowie przeszkodzili Moskwie w swoim czasie zjednoczyć wschodnią Ruś, a jednocześnie uczynili związek Polski z Litwo-Rusią bardziej spoistym, uniknęlibyśmy klęsk XVIII wieku, rozbiorów i nierównej walki z dwoma wrogami w r. 1939. To są najcięższe zarzuty, ale nie jedyne. Bo nie zjednoczyli Jagiellonowie z Polską ani Śląska, ani zachodniego Pomorza. I nie zorganizowali Europy Środkowej jako trwałego systemu politycznego pod przewodnictwem Polski, mogącego stawić czoło bądź zakusom Habsburgów, bądź presji Moskwy, bądź wreszcie zalewowi świata muzułmańskiego. Prowadzili tylko politykę dynastyczną, tak jak Habsburgowie, ale zostali przez tych ostatnich zdystansowani.

Tego rodzaju wyrzuty wobec Jagiellonów znajdujemy m. in. w książce Giertycha, p. t. "Polityka polska w dziejach Europy". Jest to doskonała książka, napisana z wielką erudycją historyczną i jednocześnie z werwą publicystyczną oraz metodą, która ułatwia czytanie rozważań zasadniczo o charakterze naukowym. Książka ta miała już swoją recenzję w *Myśli Polskiej* (nr. 3, 1947) w artykule p. Rojka, który zwrócił uwagę na zalety oraz dużą wartość pracy Giertycha. Osobiście zaliczam ją do najlepszych publikacji polskich w ostatnich latach i uważam, że pojawiła się we właściwym momencie, jako żywy materiał do rozważań dla każdego Polaka.

Niezależnie od tego nie zgadzam się z niektórymi tezami autora. Nie zgadzam się właśnie z jego oceną polityki Jagiellonów i wydaje mi się, że tutaj dał on się ponieść za daleko swojemu zmysłowi ścisłej logiki. Stawia on, jako założenie, *co należało uczynić* ("co było do zrobienia") — i następnie bada, co w rzeczywistości uczyniono: co Jagiellonowie powinni byli uczynić i co uczynili. Nie wiem jednak, czy takie postawienie sprawy pozwala na prawdziwie obiektywny sąd, kiedy określamy nasze stanowisko *a posteriori*, z punktu widzenia późniejszej epoki, z uwzględnieniem faktów, zaszłych później, których w danej epoce nikt nie mógł przewidzieć, ani nawet nie powinien. Czy mógł ktoś przewidzieć, że zjednoczenia Niemiec dokonają brandenburscy Hohenzollernowie, wasale Polski? Nikt nie mógł tego przewidzieć w XVI w., tak samo, jak nie mógł przewidzieć, że rolę Europy w świecie zaćmi świeżo odkryty przez Kolumba kontynent amerykański.

Dlatego sądzę, że lepiej jest wychodzić z założenia, co w określonych warunkach *można* było uczynić. W tym celu trzeba rozważyć zewnętrzne oraz wewnętrzne położenie państwa, a także zbadać psychikę tego, kto był podmiotem jego polityki — króla: tradycje, w jakich był wychowany, panujące poglądy i wreszcie względy osobisto-dynastyczne w rozumieniu epoki, a nie dzisiejszym. Dynastia zbyt często była w owych czasach identyfikowana z państwem — i odłączanie celów dynastycznych od celów narodowych nie było do pojęcia.

Wydaje mi się, że polityka dynastyczna Jagiellonów była najmądrzejsza z możliwych do pomyślenia w owym czasie, z punktu widzenia zarówno polskiej racji stanu, jak racji stanu ówczesnego państwa litewskiego. Zmierzała ona do obsadzenia członkami dynastii tronów Czech i Węgier oraz możliwie dużej ilości pomniejszych państewek sąsiednich, jak Mołdawii i Wołoszczyzny, księstw śląskich i t. p., oraz w każdym razie do utrzymania w tych krajach wpływów państwa polsko-litewskiego. W sprawie Prus przyjęła rozwiązanie o charakterze tymczasowym, z którego wynikała sugestia likwidacji lenna pruskiego — w przyszłości. Za partnerów zaś wybrali sobie Jagiellonowie Habsburgów, odrzucając wszelkie dalsze, "egzotyczne" związki, oprócz związku z Rzymem. Właśnie na osi stosunków z Wiedniem i z Rzymem opierała się cała polityka Jagiellonów.

Giertych, zastanawiając się co jego zdaniem było do zrobienia w Polsce Jagiellonów, stwierdza:

"Po pierwsze — trzeba było zachować własne oblicze, nie pozwolić na to, byśmy zatracili świadomość tego, czym jesteśmy i czym być mamy . . . Po wtóre — trzeba było możliwie szybko wchłaniać i asymilować Litwę . . . Po trzecie — trzeba było pilnie umacniać dotychczasową polsko-węgierską barierę antyniemiecką oraz budować, z myślą o zbliżającej się przyszłości, nową barierę antyturecką, a niemniej też i antymoskiewską. Po czwarte — nie pozwalać na dalszą ekspansję niemiecką, a w szczególności nie pozwolić na urzeczywistnienie się niebezpieczeństwa ... usadowienia się wpływów niemieckich w basenie naddunajskim i takiego uwikłania się Węgier w splot polityki niemieckiej, jak się poprzednio uwikłały Czechy".

Myślę, że na realizację wszystkich tych zadań, często sprzecznych ze sobą, potrzeba byłoby geniusza już nie jednostek czy dynastyj, ale geniusza całych dziejów naszego narodu. Jagiellonowie rządzili w Polsce niespełna 200 lat (1386-1572). Polska, którą objęli, była drugorzędnym państwem w Europie, ledwie na skalę Czech i jeszcze nie na skalę Węgier. Przez związek z Litwą i przez swoją rozumną politykę uczynili ją Jagiellonowie pierwszorzędnym państwem europejskim. W rzędzie głównych państw europejskich wylicza Polskę pod koniec XVI w. Henryk IV, a właściwie Sully, w swoim projekcie "zjednoczenia" Europy.

Główną zasługą Jagiellonów jest, że *utrzymali związek połączonych w roku* 1386 *państw*. W gruncie rzeczy był to związek dosyć przypadkowy, zważywszy głębokie różnice kulturalne i polityczne — i mógłby być bardziej jeszcze krótkotrwałym, niż unia kalmarska narodów skandynawskich. Przez długi czas, nawet po Unii Lubelskiej, będzie się mówiło w Europie nie o "państwie" polskim, ale o "państwach korony polskiej", ale podziwiać się będzie szerokość umysłu królów polskich, umiejących przez swoją tolerancyjną politykę nietylko zachować swe rozmaite państwa, ale w drodze pokojowej pozyskiwać nowe — jak Inflanty. Związki dynastyczne w monarchiach Habsburgów

zrywały się: w Portugalii, w Holandii, w państwach włoskich. Nie zrywały się jednak w państwach Jagiellonów. Przeciwnie, zacieśniały się węzły, tworzyło się stopniowo jedno państwo.

Gdyby Jagiełło, jak domaga się tego Giertych, wykonywał co do litery układ krewski i próbował “wcielić” Litwę do Polski, unia zostałaby niechybnie zerwana w ciągu kilkunastu lat, przez Witolda, lub być może przez samego Jagiełłę, po śmierci Jadwigi. To samo stałoby się z unią, gdyby Kazimierz Jagiellończyk dla zadowolenia małopolskich “obszarników” odrywał od Litwy Wołyń i Podole, kiedy tendencje separatystyczne były na Litwie b. silne. Na zrastanie się poszczególnych państw Jagiellonów trzeba było wiele czasu, cierpliwości i dalekowzroczności. Było dowodem wielkości Jagiellonów, że posiadali zrozumienie tego. Nigdy nie nazwę Jagiellonów “obcymi” w naszej historii. Nie można wymagać od nich, skoro byli Litwinami, aby stali się wykonawcami jakiegoś programu *pan-polskiego*. Ale gdyby wybrali taki program, stałoby się z nim to, co stało się z programem *panserbskim* w Jugosławii — doprowadziłby on nie do zjednoczenia, ale do rozbicia.

Ta zasługa Jagiellonów była tak olbrzymia, że wobec niej nieznaczne są rozmaite pomniejsze błędy.

Drugą zasługą Jagiellonów było określenie zasadniczego kierunku zewnętrznej polityki państwa, zgodnie z jego historyczną rolą i prawdziwymi interesami. W XV i XVI w. podział Europy na dwa obozy, katolicki i akatolicki, nie był jeszcze rzeczą wyraźnie skrystalizowaną, ale już zaczynał się rysować. W zachodniej Europie można sobie było pozwolić na politykę indyferentyzmu wobec procesu rozłamu w chrześcijaństwie, tak jak pozwalała sobie Francja za Franciszka I. Ale w Europie wschodniej, zagrożonej nie na żarty przez świat muzułmański od czasu upadku Konstantynopola, nie było miejsca na żadną politykę “świętego egoizmu”. Miejsce Polski było w jednym szeregu z Rzymem i z Austrią.

Przymierze Polski z Rzymem oraz współpracę z Kościołem uważa Giertych w całej swojej książce za jedną z podstaw polityki polskiej. Dlatego m.i. gani Jagiełłę i Witolda oraz Kazimierza Jagiellończyka za ich flirt z czeskimi husytami, przez który — zresztą — osiągnęli Jagiellonowie ostatecznie, chociaż na krótko, tron czeski. Stanowisko to nie przeszkadza mu co prawda sugerować Polsce Zygmunta I., za wzorem Francji przemijającego “zbliżenia do Turcji i protestantów niemieckich”. Zygmunt I poniekąd poszedł po tej linii na tle sprawy węgierskiej oraz pruskiej, ale uczynił to zgrabnie, nie narażając swych stosunków ze Stolicą Apostolską, której gniewowi poświęcił nawet bez wahania swego kanclerza Jana Łaskiego, kiedy ten zanadto się zaangażował w “zbliżeniu do Turcji”.

Giertych nie jest bezwzględnym przeciwnikiem naszej polityki przymierza z Habsburgami jako jednej z alternatyw, ale ma zastrzeżenia przeciwko konsekwencjom, jakie z niej wynikały. Widzi w tej polityce ustępstwo wobec niemczyzny. Polska nie odzyskuje Śląska; pozwala na wzrost wpływów niemieckich w Czechach i na Węgrzech. Są to stwierdzenia częściowo słuszne. Ale współpraca z Habsburgami była kompromisem i opierała się na wzajemnych ustępstwach. Śląsk nie przestał być pod wpływem polskim: książęta z polskiego domu panującego raz po raz otrzymują inwestytury na rozmaite księstwa śląskie, to na stolicę biskupią we Wrocławiu, a wraz z nimi płynie na Śląsk nowa fala polskości. Siedmiogród za Zapolyów i Batorych podlega w równej mierze wpływom Polski jak Austrii. Tak samo wpływy Polski wciąż są mocne w Mołdawii i na Wołoszy. Zygmunt Stary *musiał* przystąpić do paktów wiedeńskich z r. 1515 pomiędzy Habsburgami oraz Jagiellonami czesko-węgierskimi ze względu na groźbę koalicji Austrii, Moskwy, Krzyżaków i Tatarów. Trzeba pamiętać również o niepomyślnych dla interesów polskich Jagiellonów tendencjach na Węgrzech i w Czechach, przenoszących związki z Habsburgami nad związki z Polską. Z drugiej strony nie trzeba zapominać, że po katastrofie pod Mohaczem ani Zygmunt I., ani Zygmunt

WIKTOR TROŚCIANKO

ODWIEDZINY

Wysoko, na ostrym grzbiecie twardych nocy,
monotonnym rysunkiem dachów o niebo wsparta,
przyszłaś — zupełnie nieoczekiwana — aż tu.
Ja nie wiem i ty pewnie nie wiesz po co
sączył się srebrną godziną koncert fletowy Mozarta,
zaczarowany flet z dziecinnego, z bardzo dawnego snu.

W dole, za ścianą smutnych okien, mgła była
i dwiema biegła drogami przed błyskiem aut obojętnych.
Po przepastnych i ciasnych ulicach ruchoma, wilgotna bryła
wchłaniała kołyszące się, wycofane z kursów okręty —
żaglowce, którym płótna opadły w zniechęceniu i lęku.
Na to jest mgła: by osłonić wstydliwość pamięci
i pozwolić przejść. Niech miną z szeptaną na wantach piosenką
o słońcu, o pogodzie, o szczęściu.

Na Tamizie, na niewidocznej jak wszystko Tamizie,
pod mostami o szeroko rozrzuconych łukach,
stęchlizną od wody zanosi i solą w źrenicach gryzie,
a kalectwo opuszczenia tutaj najgłośniej stuka.

Wtedy właśnie — na żagla spłachetku płowym,
zapowiadając fletem przyjście statku-kaleki,
dopływał szkuner z opowieści mórz południowych
do brzegu — wysoki był brzeg — spokojnej i gładkiej rzeki.

O smukłym wieczorze palm, na niezwykłej (jak wszystko) mierzei,
pełnej piór, porzuconych przez złote, spłoszone ptaki —
— przyszłaś, jedyna żywa z szarych popiołów Pompei.
Pamiętam twój ogród i pieśni — dom Amorini Dorati.

Bo więcej nic nie zostało z zielonych stoków wulkanu,
jeno ten dom w pamięci, ogród i drganie napiętej struny,
a jeszcze: dotyk kolumny i kołysanie się dzbanów.
Potem noc, strzelająca heksametrem piorunów
z wnętrza ziemi i długie stulecia łun.

Jesteś mi dzisiaj na lądzie, którego nie było i nie ma.
Siadłszy opodal włosy w muzyczny instrument zmieniasz;
czekam aż końcem palców, cienkimi dłońmi obiema
dotkniesz tej jednej struny.
Słucham —

Gwiazdy spadły na miasto, stolicę opuszczenia.
Cisza. Ciepła i sucha — bez mgieł już, bez cierpień.
Wciąż słucham —
Jesteś.

WIKTOR TROŚCIANKO

Londyn, maj 1947.

August nigdy w pełni nie wykonali swoich zobowiązań z układów wiedeńskich i jak mogli popierali ruchy narodowe na Węgrzech i w Czechach.

Habsburgowie byli niewątpliwie przedstawicielami pewnego procesu ekspansji niemczyzny: politycznie najmniej groźnej, a z punktu widzenia cywilizacyjnej misji, jaką spełnili we wschodniej Europie, nie pozbawionej zasług. Jeżeli byli oni jednak w okresie słabości Niemiec główną ostoją niemczyzny na Wschodzie, to jej najlepszą przeciwwagą była mocna i kwitnąca potęgą Polska. Taką była Polska Jagiellonów. Do niej zwracali się więc Czesi, niechętni niemieckości lub poprostu niechętni Habsburgom oraz ich polityce, co prawda głównie czescy reformanci ("Bracia Czescy"). I do niej zwracali się zawsze ci Węgrzy, którzy nie chcieli wybierać pomiędzy Austrią a Turcją, lub też wybór ten czynili tylko koniunkturalnie.

Przymierze z Habsburgami nie wyłączało tej gry wobec Czechów, ponieważ państwo Jagiellonów było dostatecznie silne, by sobie na nią pozwolić. Nie mogło sobie natomiast pozwolić na politykę antyhabsburską, lub politykę bez żadnych aliansów. Alians z Austrią był koniecznością przeciwko Turcji, której kierunek ekspansji zagrażał w równiej mierze obu państwom. Austria uległaby prędzej, ale po Austrii i po ostatecznym podboju Węgier musiałaby przyjść kolej na Polskę, poprzez Ruś i Podole. Inwazja turecka, która przyszła dopiero za Michała Wiśniowieckiego, nie była wcale rezultatem późniejszych błędów lub zaniedbań polityki polskiej wobec Turcji. Nie przyszła prędzej, gdyż powstrzymała ją świadomość potęgi Rzeczypospolitej.

Polityka polska żadną miarą nie mogła być proturecka. Były takie zachęty ze strony Francji, ale były to zachęty zdradliwe, które zostały na szczęście ze strony Jagiellonów odrzucone. Związki z Francją, których Giertych wydaje się być zwolennikiem, mające później odegrać tak znaczną, choć nie zawsze szczęśliwą rolę w dziejach Polski, na razie plątały się tylko w wyobraźni nielicznych awanturników w rodzaju Hieronima Łaskiego, który w pewnym momencie pozyskał dla nich nawet swojego stryja, kanclerza i prymasa. Związki te nie uratowałyby Polski od agresji tureckiej, jak związki z Anglią w XX w. nic nie pomogły wobec Rosji.

Nie było również możliwe przymierze, bądź chociażby spokojne sąsiedztwo, czy to z Moskwą czy z Tatarami. Możliwe było z czasem zlikwidowanie państwa tatarskiego na Krymie. Nie było możliwe zlikwidowanie Moskwy. Moskwę mogła zlikwidować Litwa Witoldowa, sama stając się Rusią. Ale Litwa, coraz bliżej wiążąca się z Polską, a przez Polskę z Zachodem, nie mogła zjednoczyć Rusi, sprzątnąć Moskwie sprzed nosa Pskowa i Nowogrodu, a następnie sięgnąć po samą Moskwę. Kazimierz Jagiellończyk, przyjmując koronę polską, ostatecznie rozstrzygnął o losie Rusi i Moskwy. Państwo moskiewskie ze swoimi uroszczeniami musiało się pojawić prędzej czy później u granic Polsko-Litwy. Powstrzymać Moskwę w jej zapędach mógł tylko coraz ściślejszy związek pomiędzy Litwą a Polską, coraz dalej idące wzajemne przenikanie się kulturalne.

Sukcesy Jagiellonów, jako "powiększycieli" Polski były niemałe. Za Kazimierza Jagiellończyka odzyskała Polska Pomorze Gdańskie, powiększone nabytkami na prawym brzegu Wisły, z Malborgiem, Elblągiem i Warmią. Za Jagiellonów dokonało się ostateczne zjednoczenie dzielnic polskich, z wygaśnięciem Piastów mazowieckich. Zwierzchnictwo Polski nad Mazowszem za ostatnich Piastów polskich było wątpliwe — i dopiero potęga Jagiellonów ugruntowała nad nim to zwierzchnictwo, które utorowało drogę do zjednoczenia. Od czasu Jagiellonów Ruś Czerwona staje się naprawdę polską dzielnicą, do Rusi zaś dochodzą Podole, Wołyń i Ukraina. A Podlasie, a Inflanty i Kurlandia, "kraje wspólne" obu połączonych państw?

Sprawa odzyskania Śląska może się wydawać zagadnieniem kardynalnym z dzisiejszego punktu widzenia. Ale na tle olbrzymich perspektyw polityki jagiellońskiej była ona zagadnieniem drugorzędnym. Polityka owych czasów nie może być mierzona dzisiejszymi kryteriami narodowymi. Dla Jagiellonów, którzy panowali nad poddanymi różnej narodowości, rzeczą ważniejszą od rewindykacji Śląska wydawała się sprawa korony czeskiej lub współpracy z Habsburgami na tle wymagań polityki międzynarodowej. Nie rezygnowali oni wcale z tej dzielnicy polskiej, ale odzyskanie jej odkładali na później.

To samo można powiedzieć o sprawie pruskiej. Zagadnieniem pierwszorzędnej wagi było w XV i XVI w. złamanie zaborczej potęgi krzyżackiej. Cel ten został przez Jagiellonów osiągnięty. Natomiast sprawa wcielenia do Polski całych Prus mogła być pojmowana jako rzecz przedwczesna, kiedy nawet w Gdańsku panowanie polskie nie było jeszcze — i nie było nigdy w przyszłości — całkowite. Utworzenie zatem lenna wschodnio-pruskiego, które przez sekularyzację zerwało związki z Cesarstwem, mogło być uważane za rozwiązanie korzystne. Błędem, a raczej zaniedbaniem, było dopuszczenie możliwości związku Prus z Brandenburgią, ale i to było z punktu widzenia polityki polskiej w XVI w. sprawą drugorzędną.

Rozstrój państwa, który pociągnął za sobą jego upadek, nie był dziełem Jagiellonów, w ogóle nie był dziełem naszych królów. Kiedy Jagiellonowie zasiedli na tronie polskim, Polska była już monarchią "konstytucyjną", którą uczynił ją Ludwik Węgierski przez pakta koszyckie. Za Jagiełły i Warneńczyka faktycznie rządzili panowie, senat. Dopiero Kazimierz Jagiellończyk był prawdziwym monarchą, ale i on musiał się liczyć z senatem. Był on na Litwie władcą absolutnym, w Polsce natomiast zmuszony był walczyć z możnowładztwem, które raz wyrósłszy ponad króla nie chce zrezygnować z raz zdobytych uprawnień. Zazwyczaj przypisuje się Jagiellończykowi, że powołał na arenę publiczną szlachtę, żeby złamać przewagę senatu. Jest to o tyle nieścisłe, że szlachta sama się wysunęła — pod Chojnicami, a król zgodził się na jej postulat udziału w rządzeniu państwem, ponieważ inaczej nie byłby wygrał wojny z Krzyżakami. Przekształcenie się Polski na "rzeczpospolitą" szlachecką było procesem, którego Jagiellonowie ani nie wywołali ani nie mogli zahamować.

Należy natomiast stwierdzić, że, z wyjątkiem nielicznych okresów, nigdy masy szlacheckie naprawdę nie posiadały decydującego wpływu; wpływ ten posiadała tylko górna warstwa szlachecka, magnaci. Warstwa ta rządziła za pierwszych Jagiellonów jako "rada królewska", senat. Od czasu Olbrachta i Aleksandra rządzi ona nadal, tylko że odtąd przyswaja sobie rolę rzeczników ogólnych interesów szlacheckich. "Magnates" stają się demagogami i za pośrednictwem ponawianych wciąż prób "rokoszu" starają się naginać politykę króla do swoich własnych celów.

Na skutek tej postawy możnowładztwa senat przestaje być naprawdę senatem, ciałem współtworzącym wraz z królem prawo i współodpowiedzialnym za politykę państwa. Staje się on środkiem presji na króla pod kątem widzenia straży interesów kastowych. Tylko biskupi pojmują trochę inaczej swoje zadania, stając się prawdziwą podporą monarchii.

Trzeba to sobie powiedzieć: nie mieliśmy począwszy od XVI w. prawdziwej arystokracji, jako warstwy politycznej nie tylko korzystającej z pełni praw, ale poczuwającej się również do odpowiedzialności za politykę państwa, za jego przyszłość. Mamy tylko magnatów, zazdrosnych o swoje przywileje i chciwych wpływów, dostojeństw i majątków. Tradycje "panów krakowskich" przeminęły. Nie "polityka" ale "interesy" dominują w działalności publicznej większości wielmożów polskich XVI w. i później. Myśl polityczną zaczyna reprezentować średnia szlachta, głównie wschodnio-małopolska (lubelska, sandomierska) i "ruska," z której wkrótce wyjdą Zamoyski, Żółkiewski, Sobiescy. Kiedy jednak wyniesie się ona wyżej i zmiesza z magnatami, i ona zatraci poczucie interesu publicznego i pomyśli wyłącznie o interesach własnych.

Ten zanik w Polsce arystokracji miał dwie przyczyny.

Pierwszą było wygaśnięcie rodów, głównie małopolskich, które w XIV i XV wieku skierowały Polskę na drogę wielkości i które reprezentowały tradycję mądrości politycznej: Melsztyńskich, Tęczyńskich, Oleśnickich. Miejsce ich zajęły nowe rody, które wyrosły na kresowych fortunach — i które reprezentowały typ arystokracji nie dworskiej i urzędniczej, arystokracji rozumu, ale typ arystokracji kolonizatorskiej czy ziemiańskiej i w pewnym stopniu wojskowej. Nie zawsze jest to najlepszy rodzaj arystokracji. Czym byłaby arystokracja ziemiańska w Anglii, gdyby w niej od dziecka nie wyrabiano zrozumienia służby publicznej, gdyby nie szła ona do urzędów i do parlamentu a dawniej nie przechodziła przez szkołę dworu! Rozum reprezentowało w Polsce najczęściej wyższe duchowieństwo i najlepszymi ministrami byli duchowni: Jan Łaski, Piotr Tomicki, Samuel Maciejowski i inni.

Drugim powodem upadku polskiej arystokracji było wejście do niej rodów litewskich i ruskich. Wyobraźmy sobie bojarów moskiewskich, którym przez 2 wieki nikt nie ścinał łbów lub ścinał za rzadko! To były "królewięta" wschodnie, Wiśniowieccy, Koreccy, Ostrogscy. Radziwiłłowie. Jeszcze Kazimierz Jagiellończyk trzymał ich w karbach żelazną ręką. Potem już tylko za Batorego spada głowa Ościka, niemal jednocześnie z głową Zborowskiego. Byłoby lepiej i dla arystokracji polskiej i dla naszej historii, gdyby przykłady te były częstsze. Nie byłoby może zdrady Radziwiłłów i rokoszu Lubomirskiego.

Unia upodobniła Litwę z Polską pod względem organizacji politycznej, nie mogła jednak od razu zrównać poziomu kultur. Litwa i Ruś wymagały jeszcze pewnego czasu panowania absolutnej władzy książęcej oraz jej stopniowych tylko ograniczeń. Zmiana była zbyt raptowna, a szkoła zachodniej kultury i zachodnich urządzeń politycznych za krótka. Z czasem rody litewskie i ruskie zrobią w obu tych dziedzinach wielkie postępy. Od nich właśnie wyjdzie w XVIII wieku pierwsza od czterech wieków, od czasu "panów krakowskich," nowa koncepcja polityczna i z nich wyrośnie jedyna prawdziwa arystokracja polska — "familia." Nastąpi to jednak za późno.

Oba te zjawiska łączą się pośrednio z zagadnieniem unii polsko - litewskiej. Czy dlatego mielibyśmy jednak żałować, że się ona stała? I czy mielibyśmy czynić Jagiellonów odpowiedzialnymi za to, że niemal do chwili rozbiorów nie umieliśmy wytworzyć uczciwej i rozumnej warstwy rządzącej, bez której władza zarówno króla oraz jakakolwiek władza nie były do urzeczywistnienia?

Kiedy myślę o Polsce jagiellońskiej zawsze przychodzą mi na myśl słowa poety:

"Wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie,
Ze skarbów Twojej miłościwej łaski."

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

OD PODSTAW

Nowa książka Wojciecha Wasiutyńskiego*) musi zainteresować czytelnika przede wszystkim jako symptom. Dla tego samego zaciekawi ona kiedyś kronikarza tych naszych mętnych i smętnych czasów. Symptomatyczne są te *Ruiny i Fundamenty* swoją tęsknotą za czymś stałym i głębszym w dzisiejszej dobie sypkiej mielizny. Już to jedno każe nam cieszyć się z ukazania się tej książeczki krótkiej, ale plennej i pełnej treści.

1.

Autor z racją podkreśla, że dzisiejsi ludzie atomowego okresu mają dość wszelkich próżnych ideologii i łatwych systemów, dość myślowych namiastek i mnożących się werbunków do rozlicznych fakcji i koterii. *Nie wierzą im.* Nie dają się dłużej nabierać na plewy. Łakną czegoś głębszego, łakną własnego przekonania. Łakną wiary.

Zdaniem Wasiutyńskiego — i to też symptomatyczne — mają oni rację. Jeżeli czasy nasze są bezładne i niekonstrukcyjne, to przede wszystkim dlatego, że ludzie odzwyczaili się od sięgania w głąb. Wydawało się, że wystarczy czyn i życie opierać na ladajakich podstawach, że wolno wartość polityki, czy społeczeństwa oddzielać od wartości indywidualnego myślowego wysiłku. Albo inaczej jeszcze, że polityka i życiowe działanie nie wymagają filozoficznej podbudowy. Otóż nie. Można tak się łudzić, dopóki się ma mocny grunt pod nogami — dzięki wysiłkom tych, co nas poprzedzili, dzięki pracy poprzednich pokoleń, dzięki niewzruszonym jeszcze osiągnięciom społeczeństw narodowych i kościelnych. Jeżeli jednak tylko się ta opoka pod stopami zachwieje, szybko zjawia się przekleństwo myślowego trzęsawiska i grzęzawiska i trzeba wtedy czym prędzej własnym wysiłkiem odbudować nawiązanie do czegoś trwalszego.

Tak właśnie dzisiaj. Taka mocna podbudowa musi być podrzucona pod wszystko, tak pod życie społeczne, jak i życie indywidualne, — nie może tu być wyjątku, dwupłaszczyznowości, tego co Francuzi nazywają *cloison étanche*, przegród między komorami okrętu czy życia. "Nie ma tu żadnych dwu płaszczyzn. Z punktu widzenia religijnego, sprawy kultury narodowej i ustroju nie są obojętne, lecz podlegają ocenie moralnej, każdy fakt jest lepszy albo gorszy. Z punktu widzenia zaś narodu, wcale nie jest obojętne, jaki najwyższy cel stawia się przed oczy członkom tego narodu".

Taki wspólny mocny fundament wiąże całości cywilizacyjne. Tak było ze światem antycznym, tak było zwłaszcza z chrystianizmem wtedy, gdy tysiąclecie Europy przenikał i budował w wiekach średnich. Tak nie jest dzisiaj — niestety. Komuniści wiedzą dokładnie do czego dążą w negacji tego, co jest. Ale ich oponenci jeszcze swego pewnego gruntu nie odnaleźli — stąd ich słabość a siła komunizmu.

Stąd też i ten brak harmonii cywilizacyjnej tak dla Europy charakterystyczny — na długo już przed obu ostatnimi wojnami. "Człowiek w życiu swoim i we wszystkich swoich tworach dąży do harmonii. Dążenie to przejawia się w różnych dziedzinach życia: między stylem politycznym a stylem architektonicznym, czy literackim każdej epoki istnieje niewątpliwa zależność: te same ideały kształtują zasadnicze pojęcia estetyczne i społeczne. Brak harmonii w podstawowych pojęciach czyni człowieka nieszczęśliwym. Brak harmonii w podstawach czyni doktrynę słabą".

Te dwa zdania ostatnie ze sobą zestawione i ułożone w logiczną sekwencję — przynoszą Wasiutyńskiemu zaszczyt.

2.

Drugim punktem, który należy zapisać na jego dobro, jest fakt, że, raz się zdecydowawszy na sięgnięcie w głąb, do podstaw, nie traci czasu na teoretyzowanie w próżni, ale trafia gdzie należy, bo wie, gdzie jest prawda i gdzie jest dobro.

Wasiutyński stoi na gruncie zdecydowanie chrześcijańskim i katolickim, nie tylko jako jednostka ludzka, ale wręcz jako polityk. Nie uznaje przecież dwu płaszczyzn. Tę swą przynależność do chrystianizmu proklamuje dobitnie, bez uciekania się do omawiań, czy ogólników; znajdujemy się tu z nim istotnie na jasnych wodach, bez niedomówień ni figur. Dotyczą te podstawowe prawdy tak stosunków między ludźmi i między narodami, jak i wręcz stosunku do samego Boga. Naszemu autorowi potrzebny jest absolut dla uchwycenia wszelkiego relatywu. Wie on doskonale, że ludziom potrzebne jest braterstwo, ale wie także — w tym jego realizm —, że nie masz niezakłamanego braterstwa jak tylko między synami bożymi. Braterstwo między ludźmi, istotnie twórcze i nie-kainowe, wypływa jedynie z ich przyznawania się do synostwa bożego. Płyną przecież z tego synostwa bożego i prawa i przede wszystkim obowiązki. . . .

Ustęp dotyczący tych prawd, który zacytujemy poniżej, należy do najszczęśliwszych i najprecyzyjniejszych w książce Wasiutyńskiego.

"Zasada miłości Boga jest równie obowiązująca w skutkach politycznych. Nie stawia ona granic czci dla Boga i wskazuje, że Bogu trzeba więcej wierzyć, niż sobie samemu, to znaczy z całą dobrą wolą przyjmować nawet te dogmaty, których się nie jest w stanie pojąć. Stawia to granice zarozumiałości ludzi działających politycznie".

Postawiło to takie granice, dodajmy, np. Salazarowi.

"Z drugiej strony — ciągnie dalej nasz autor, — nakaz ten obowiązuje do niewierzenia w sprawach sumienia żadnej czysto ludzkiej powadze więcej niż sobie samemu. Nie wyklucza to wypełnienia cudzej woli nawet bez przekonania, jeśli się ma podstawy sądzić, że tamten kieruje się słusznymi przyczynami sobie znanymi, ale wyklucza zrzeczenie się prawa oceny każdego postępowania, wyklucza wykonanie cudzej woli, jeśli wydaje się ona grzechem, wyklucza widzenie w innym człowieku wodza czy mistrza mającego prawo ustalać probierze moralne za chrześcijanina, być źródłem oceny, co jest dobre a co złe".

Jak dalece taka odnaleziona w całej pełni podstawa absolutna jest ważna dla całego myślenia politycznego — dowodzi fakt, że w bezpośrednim, bo logicznym, następstwie znalazło się tu sformułowanie stosunku państwa i do Kościoła i do narodu i do osobowości ludzkiej:

"Z podstawy chrześcijańskiej wynika także uznanie niezbywalnych i ponad-państwowych praw Kościoła Powszechnego (t. zn. katolickiego) do interpretacji wiążącej prawa Bożego — przyrodzonego i objawionego; niezbywalnych i ponad-państwowych praw narodu do istnienia i wytwarzania własnego typu życia duchowego w ramach wspólnoty cywilizacyjnej chrześcijańskiej . . .; niezbywalnych i ponad-państwowych praw człowieka do rozwoju duchowego i kształtowania swej osobowości wedle swego sumienia, do założenia rodziny i wychowania dzieci, do bezpieczeństwa życia w ramach prawa".

Dobrze się stało, że Wasiutyński, miast bawić się w szukanie nowych "prawd absolutnych", słusznie upatrzył wielką nowość w śmiałym przypomnieniu Prawd dawnych i niezbywalnych.

3.

Jest wreszcie jeden jeszcze powód, dla którego warto i miło czytać ostatnią pracę Wasiutyńskiego. Jako człowiek lubiący to, co Francuzi zwą *idées générales*, prowokuje on nieraz sprzeciw i dyskusję. Dla myślącego czytelnika jest wielką przyjemnością móc z autorem poargumentować i posprzeczać się.

Parę tego przykładów przytoczymy.

Charakteryzując dobę Odrodzenia i Reformacji, autor przeciwstawia je Średniowieczu. Słusznie zasadniczo, ale nie we wszystkim. Człowieka średniowiecznego pojął nasz autor trochę jako matołka: "Dotąd, nie patrząc na świat w przestrzeni ani w czasie, przyjmował istniejące warunki za stałe i konieczne. Nędza, niesprawiedliwość, choroby, wojny — były dla niego zjawiskami równie nieuniknionymi jak śmierć i szukał dla nich tylko wyjaśnienia metafizycznego i metafizycznego lekarstwa. Lekarstwo było pozagrobowe, raj był pośmiertny". Oczywiście co do raju. Ale takie twierdzenie nie wystarczy.

Przypomnieć tu trzeba to, co św. Tomasz z Akwinu mówi o operabiliach[1]), o tym więc wszystkim, co jest ludzkim działaniem, także społecznym i politycznym, aby przekonać się że idea *doskonalenia się społecznego* wcale nie była mu obca. Oczywiście nie idea *doskonałości* społecznej, ale idea *doskonalenia się* i indywidualnego i społecznego.

Oto tekst Summy Św. Tomasza (S.Th.I, II,qu.97 a.1): "Humanae rationi naturale esse videtur, ut gradibus ab imperfecto ad perfectum perveniat . . . Ita etiam in operabilibus: nam primi, qui intenderunt invenire aliquid utile communitati hominum, non valentes omnia ex seipsis considerare, instituerunt quaedam imperfecta, in multis deficientia, quae posteriores mutaverunt, instituentes aliqua, quae in paucioribus deficere possunt a communi utilitate." Co w polskim tłumaczeniu brzmi jak następuje: "Jest właściwością rozumu ludzkiego iż stopniowo postępuje od niedoskonałego do doskonałego. Dzieje się tak nawet w rzeczach zdziałalnych: albowiem pierwsi, którzy umyślili wynaleźć coś pożytecznego dla społeczeństwa ludzkiego, nie zdoławszy wszystkiego ze siebie samych obmyśleć, założyli pewne sprawy niedoskonałe, z wielkimi brakami, które dopiero następcy zmienili, zakładając niektóre inne, które mniejsze wykazywały niedostatki dla powszechnej potrzeby". W niezmiernie prostych słowach i przejrzystych zdaniach zawarowana i zawarta tu jest cała istotna treść postępu ludzkiego.

Równie przesadne jest stwierdzenie "obrazowe", że "w epoce nowożytnej ludzie przestali wierzyć w grzech pierworodny i że

---

* *Ruiny i Fundamenty.* Londyn, Biblioteka Książki Polskiej, 1947. Stron. 141.

[1]) *operabilia* — to co zdziałać można, rzeczy "zdziałalne".

to stanowiło najistotniejszą zmianę ich stosunku do życia". Tak, na manowce utopij i automatycznego postępu poprowadziła człowieka nowoczesnego wiara w dobroć zasadniczą natury ludzkiej, tak znamienna np. dla Russa. Ale nie należy tego zjawiska ograniczać do nowoczesności. Wszakże nie na czym innym polegały odszczepieńcze doktryny pelagianizmu, bardzo średniowieczne i nawet pre-mediewalne. Pelagianizm i semipelagianizm wciąż się w ciągu wieków na nowo pojawiają. Przerzucone na grunt społeczno-polityczny prądy te wytwarzały wszelkie *millenaryzmy*, które właśnie — hen od roku tysiącznego naszej ery — marzyły i marzą o Królestwie Bożym na ziemi.

Wasiutyńskiego nikt o taki millenaryzm czy pelagianizm nie posądzi. Owszem znajduje kapitalną formułę na ich ośmieszenie: "w dążeniu do zbudowania raju ziemskiego zbudowano parę solidnych piekieł ziemskich".

W szeregu dalszych szczegółów można się z nim różnić. Nie wiem, czy to takie pewne i przekonywające, że cywilizacje opierają się na *ideach* a kultury na *ideałach*? Jako filolog i trochę lingwista nie jestem w stanie przejmować się zbytnio logicznymi kategoriami kultur i cywilizacji. Cywilizacja, jako termin, wyrosła z wyrazu *civis*, obywatel, a i tak doszła niekiedy do pojęcia cywilizacji *materialnej*! Zaś kultura w szeregu języków, np. we francuskim, nie jest używana w znaczeniu ogólnym i samowystarczalnym, a tylko w szczegółowym połączeniu z dopełniaczem, jako *uprawa czegoś*. Każdy język ma tu swoje zwyczaje i tradycje. Nie doszukujmy się sztucznych rozgraniczeń pojęciowych tam, gdzie są tylko odcienie psychologiczne i etymologiczne.

4.

Nie wiem nawet, czy bardzo przekonywająca jest sama budowa tej książki.

Składa się ona z czterech rozdziałów: Ideologia, Cywilizacja, Kultura, Organizacja. Dwa środkowe są złudne — jako terminy i pojęcia przeciwstawne a nawet odrębne. Ideologia i organizacja nie wykluczają się przecież. Autor pragnie tylko, by się nie panoszyły i nie rozpierały zbyt wyłącznie. Nie wiem, czy istotnie jest jakaś droga rozwojowa czy konstruktywna, prowadząca od ideologii do organizacji? Raczej autor tego nie twierdzi. A jeżeli nie twierdzi, to jakaż jest zasada konstrukcji całej książki?

Może to jeszcze nie konstrukcja a dopiero próbne szczeblowanie.

Istotnie sądzić wolno, że Wasiutyński książkę odpowiadającą swym bardzo głębokim i istotnym przemyśleniom — dopiero napisze. *Noblesse oblige*: jest on nam tę książkę winien. Mało co w *Ruinach i Fundamentach* tak za serce chwyta, jak proste stwierdzenie: "Zdaję sobie sprawę z tego, że książka niniejsza nie jest ani tak wykonana, ani tak udokumentowana, jakby należało . . Pomimo braków opracowania, uważałem wydanie tej książki obecnie za potrzebne . . . Bez przedyskutowania i przyjęcia założeń zasadniczych . . . nie można przystąpić do poważnego omówienia bieżących zagadnień. Ponieważ zaś nie widzę, by ktoś kompetentniejszy i lepsze posiadający warunki pracy tego się podejmował, czuję się upoważniony do spełnienia tego zadania tak jak mogę i umiem".

Słowa te są i śmiałe i skromne. One to pozwalają spodziewać się po autorze książki pełniejszej na te tematy, tak ważne i tak doniosłe.

W tym co nam dał chcemy upatrywać pewną rękojmię, że jest on wyrazicielem swego pokolenia. W symptomatyczności jego pracy widzimy jej największą zaletę.

F.

JAN BIELATOWICZ

IDEOLOGIA ZAPRZAŃSTWA

WPROWADZONA do Polski na ostrzach tych samych bagnetów, które w nagrodę odcięły dla siebie połowę naszego państwa, utrzymywana jest tam nadal tylko siłą tych bagnetów — rzekoma "rewolucja." Zaborcy i okupanci nieraz w dziejach podrzucali swoje kukułcze jaja do gniazd polskich procesów społecznych. Zaborca i okupant sowiecki nie zadawala się dziś zabraniem wschodniej połowy Rzeczypospolitej, nie poprzestaje na poddaniu reszty Polski pod swoją wolę polityczną i wojskową, na jej rozbrojeniu, zubożeniu i okrążeniu militarnym, potrzeba mu jeszcze kadzideł wiernopoddańśtwa, aureoli wybawcy i dobroczyńcy. Polska powinna przed całym światem wyznać, że dopiero w blasku sowieckiego wyzwolenia odnalazła drogę swej historii i nareszcie może realizować prawdziwe ideały społeczne, polityczne, ekonomiczne i kulturalne. Tę pracę okadzania, wachlowania, lizania stóp i zachwycania się wykonać muszą oczywiście sami Polacy. I niestety wielu jest takich, którzy ją wykonują.

Podobnie jak za okupacji niemieckiej istniały cztery "listy" lojalności wobec okupanta, tak i za niewoli sowieckiej zarysowują się cztery szczeble stosunku do najeźdźcy. Licząc od strony polskiej pierwszą grupę stanowią Polacy, którzy milczą i walczą, drugą — ci, którzy postanowili przystosować się do warunków i przetrwać, trzecią — ugodowcy programowi, a więc czynni politycznie, czwartą wreszcie — zwolennicy i wyznawcy "rewolucji." Zmienność gospodarza na historycznych ziemiach nie przesądza ich losów nawet w ciągu wielu wieków, jak to znowu ostatnio wykazał w swej świetnej *Polityce polskiej* Jędrzej Giertych. Okupacja, niewola jest ciężkim doświadczeniem, z którym jednak naród polski jest nieźle oswojony. Największym niebezpieczeństwem dla narodu jest zamach na jego duszę, na jego samowiedzę historyczną, na jego porządek moralny, na sens jego istnienia. Zamachu tego nie byli w stanie wykonać Niemcy, nie tając, że dążą do zupełnego unicestwienia narodu polskiego. Próbę tę natomiast podejmują Sowiety, mając za sobą doświadczenie olbrzymich sukcesów, odniesionych nad szeregiem narodów, którym świadomość własną potrafili zastąpić nową świadomością — ojczyzny sowieckiej. Zaczyna się to zawsze niewinnie od spraw społecznych, przechodzi w atak i negację historycznych warstw narodu i jego tradycji ideowej, a kończy się szukaniem "nowej rzeczywistości." W ten sposób chleb, sowiecki jest upieczony na drożdżach narodu, który się siebie wyparł.

Może być, że trudno będzie Sowietom uczynić z narodu polskiego drożdże czy mierzwę lub nawóz pod uprawę własnego zboża. Ale grzybki są już posadzone i otoczone pieczołowitością hodowli doświadczalnej. Główne fundamenty polskości są jeszcze nietknięte: Kościół Rzymsko-Katolicki, nauka, a i świadomość historyczna, jak wykazuje bezsilność warszawskiego reżimu wobec przyjęcia przez naród na własność Monte Cassino i Powstania Warszawskiego, okazuje się nadal pozycją nie do zdobycia. Cała furia więc kieruje się na polski ład społeczny.

Aby skutecznie walczyć i pracować dla narodu na emigracji, musi się przede wszystkim pilnie śledzić wydarzenia w Kraju. Z uznaniem zatem witamy inicjatywę poważnie pracującego "Instytutu Literackiego" w Rzymie, który oświetlił emigracji główną machinę ataku sowieckiego na polski ład społeczny i historyczną samowiedzę Polaków w postaci janczarskiego działa naukowego — p. Józefa Chałasińskiego z Uniwersytetu Łódzkiego (uczelni, stworzonej przez reżim w nadziei, że stanie się kuźnicą "rewolucji" naukowej). Instytut Literacki ogłosił wykład inauguracyjny w Uniwersytecie Łódzkim profesora tejże uczelni, uzupełniając go późniejszymi jego polemikami prasowymi i równocześnie zaopatrując w doskonałą replikę Jana Ulatowskiego, w której autor wyraża pogląd polskiej emigracji politycznej. Książka nosi tytuł: "Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej" i jest klasycznym okazem bolszewickiej maszyny piekielnej pod fundamenty polskiej świadomości narodowej.

Aczkolwiek metoda, którą się Chałasiński posługuje, jest częściowo naukowa, przecież ton jego wystąpień jest na wskroś publicystyczny, mimo że unika on starannie wyrazu "polityka" i pojęć z nią związanych, a nawet rzuca zasłony dymne w postaci pochwał kapitalizmu. Tylko czasem wymyka mu się zdanie, nie pozostawiające wątpliwości: "Zagadnienie inteligencji nie jest jednak oderwane od naszej współczesnej rzeczywistości polskiej. Przeciwnie ma ono gorzki smak życia. Jest to jedno z czołowych zagadnień chwili bieżącej, którego nie można przemilczeć. Zagadnienie inteligencji należy do istoty społeczno-politycznej rewolucji, jaka się u nas dokonuje. Fakt ten występuje w całej doniosłości dopiero w świetle socjologicznej i historycznej analizy problemu inteligencji w Polsce." (Str. 121). Jasno tu wyłożono przyczynę, dla której podejmuje się "socjologiczne" i "naukowe" badania. Celem mianowicie dostarczenia argumentów "społeczno-politycznej rewolucji." Celem ideologicznego podmurowania przyniesionego na sowieckich bagnetach porządku. Celem ukołysania polskiego sumienia, że to, czym dotąd naród się karmił, było trucizną, a to, co się dzieje obecnie, jest manną zbawienia. "Badacz" odkrywa narodowi, że inteligencja polska, która miała wyłączny wpływ na kształtowanie wszystkich dziedzin życia narodowego na przełomie stuleci XIX i XX aż po dzień dzisiejszy, jest zdegenerowanym bastardem stanu szlacheckiego i z niej płynęło i płynie wszystko zło. Jej ideą jest nie tylko reakcjonizm ale ponowne wprowadzenie pańszczyzny, podporządkowanie swej przewadze warstwy chłopskiej i zduszenie stanu mieszczańskiego. Życie polskie było dotąd całkowicie zatrute, ponieważ idee inteligenckie opanowały również chłopów i mieszczaństwo polskie na ich szczytach. Bez zbytnich skrupułów socjolog łódzki stawia znak równości między szlachtą, inteligencją i ruchem narodowym, "endecją." Stąd już niedaleko do idei elitaryzmu, "renesansu heraldyzmu," faszyzmu. Znaną dobrze metodą przeciwstawia się idealne zamierzenia twórców i genezę ruchów społeczno-politycznych ich kontynuatorom i późniejszej ich linii rozwojowej. Popławski i Dmowski wychodzą w naświetleniu p. Chałasińskiego niemal na prekursorów i ideologów . . . dzisiejszej "rewolucji," podczas gdy na ich schedzie rzecznik przemian nie pozostawia suchej nitki.

Wszystkie, dosłownie wszystkie idee, które były historyczną glebą polskości, a tym samym

jej warstwy przywódczej, są wedle Chałasińskiego nonsensem, obłudą, konsumpcją cudzego, często zbrodnią. Katolicyzm, to "darowane przez Boga żerowisko dla bogobojnych polskich rodzin" (cytat z St. Brzozowskiego, str. 11), "europejskość polskiej inteligencji to hedonistyczna konsumpcja wartości kulturalnych Europy bez aktywnego udziału w dziele tworzenia Europy i bez poczucia europejskiej współodpowiedzialności" (str. 86), "inteligenckie ghetto to ogromna siła reakcyjna społeczna, pasorzytująca na polskim życiu kulturalnym" (str. 77), "abstynencja od życia gospodarczego we wszelkich jego przejawach, tak intelektualnych, jak i praktyczno-zawodowych, brak poczucia rzeczywistości gospodarczej" (str. 36), a literatura polska? Szczególną pasję wywołuje w Chałasińskim wpływ i znaczenie Sienkiewicza. "Trylogia" przesądziła ostatecznie o szlacheckim kierunku społeczno-ideologicznego ukształtowania ghetta inteligenckiego" (str. 74). Skwapliwie się tu posługuje Chałasiński sądem Brzozowskiego o Sienkiewiczu, a więc określeniami: "saski trąd, szlacheckie parchy," "klasyk polskiej ciemnoty, szlacheckiego nieuctwa" (str. 76), koronując bezceremonialnie Sienkiewicza na króla-ducha epoki. Aż dziw bierze, że ten szlachecki pomiot, karykatura polityczna i społeczna, oaza kołtuństwa i oportunizmu, jakim jest naród polski, istnieje po dziś i przecież ma w świecie własne oblicze. I pomyśleć, że dopiero nowa epoka ma się zacząć od katedry socjologii w Uniwersytecie Łódzkim. Oto jako najmłodsi alumnowie "rewolucji" wchodzimy w nowy ład i potrzeba nam pokory, ogromnej pokory. Wchodzimy do rodziny "prawdziwej demokracji" jako rozgrzeszony złoczyńca. Ze szlacheckimi parchami na twardej głowie.

Ulatowski piętnuje pseudonaukową maskaradę Chałasińskiego i ściąga z bolszewickiej kukły maskę polskiego romantyzmu społecznikowskiego, czyniąc to niestety w sposób przesadnie kurtuazyjny. Bo wprawdzie nie ukrywa, że Chałasiński "robi to, czego sobie życzy najeźdźca: istotę sytuacji dostrzega w rozdźwięku między inteligencją polską, a polskim ludem," lecz mimo wszystko wierzy w dobrą wolę łódzkiego profesora, w jego polityczną naiwność i branie á la lettre tekstów i haseł politycznych. A przecież jest to najpoważniejsza pozycja orędowników najazdu wśród tępoty domorosłego pogłowia adeptów "rewolucji" (nie wszyscy czynni kapitulanci są entuzjastami "rewolucji," większość z nich wyznaje "realizm" polityczny).

Przede wszystkim należy oddzielić ziarno od plew. Nie wszystkie spostrzeżenia i tezy Chałasińskiego są niesłuszne. Teza wyjściowa rozprawy jest bliska prawdy w odniesieniu do strony genetycznej zjawiska: "Trzon inteligencji miejskiej, który zadecydował o jej społecznym i duchowym obliczu, nie powstał w drodze społecznego awansu emancypujących się mas ludowych, lecz z emigrantów dworu ziemiańskiego i pańszczyźnianego folwarku" (str. 37). Nie jest to zresztą odkrycie Chałasińskiego, czego najlepiej dowodzą jego częste powoływania się i cytaty z pisarzy, polityków i uczonych polskich. Sąd nad nieproduktywną częścią inteligencji (dlatego też raczej nie inteligencji), nad biurokracją, wydał w sposób bezpardonowy, lecz w imię polskiej racji Dmowski w "Świecie powojennym" i "Przewrocie." Sąd nad szlachtą stał się od dawna obowiązkowym przedmiotem czytanek szkolnych. Zapewne w wolnej Polsce problem społeczny inteligencji byłby dziś jednym z najbardziej pasjonujących zagadnień chwili, o czym najlepiej świadczą liczne na ten temat dyskusje na emigracji i w Polsce podziemnej. Polska wolna zapewne by problem ten korygowała co najmniej na odcinku nieproduktywnym, a nie — jak to czyni Polska sowiecka — komplikowała i zaogniała obłędną biurokracją.

Dla zwolennika ideologii narodowej obojętne jest wykrywanie nowej klasy inteligenckiej i cała problematyka, czy stanowi ona organiczną część, czy w ogóle nie wchodzi w skład klasy mieszczańskiej. Jest to zmartwienie dla marksistów. Można się zgodzić, że w typie życia duchowego inteligencji polskiej przeważają pierwiastki szlacheckie. Ma to również tylko historyczne znaczenie, ponieważ za naszych czasów inteligencja miejska nie posiadała stanowczo świadomości szlacheckiej, choć miała niewątpliwie wiele jej cech duchowych, podobnie jak zresztą wszystkie warstwy polskie i całe życie polskie, budowane przez kilkaset lat wedle wzorów życia szlachty. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zastępy inteligencji w Polsce rekrutowały się w przytłaczającej większości z warstw ludowych i wszelki nawrót do społecznego szlachectwa byłby odwracaniem biegu rzeki. Charakter zatem inteligencji sprowadza się nie do jej pochodzenia społecznego, lecz do problemu charakteru narodowego, ukształtowanego w głównej mierze przez szlachtę. Można by zapewne też dowodzić, że inteligencja, to część mieszczaństwa, które istniało z dawien dawna obok szlachty, nie ma to jednak znaczenia, skoro typ życia polskiego również w miastach był szlachecki. Nie jest zatem inteligencja polska "produktem ubocznym przekształcania się przedkapitalistycznej Polski szlachecko-ziemiańskiej . . . w Polskę kapitalistyczną, miejską i przemysłową," ale jest po prostu produktem szczerze polskim, jak chłopi, jak mieszczanie, jak robotnicy, na których zresztą skutkiem politycznej propagandy znać najwięcej pokostu międzynarodowego.

Chałasiński ani razu nie precyzuje, kogo mianowicie uważa za inteligencję. Stąd raz po raz robi wyjątki dla wybitnych ludzi z "ghetta inteligenckiego," wikła się, kiedy nie może zaprzeczyć, że na czele wszystkich ludowych ruchów społecznych stali w Polsce właśnie przedstawiciele szlachty, i ostatecznie najczęściej wybiera sobie na kozła ofiarnego biurokrację (str. 39-41). W rzeczywistości biurokrację, owych przysłowiowych "urzędasów," i "gryzipiórków" uważało się zawsze w Polsce nie za inteligencję, lecz za pół- i ćwierć-inteligentów. Stanowili oni osobną klasę urzędniczą, niewiele mającą wspólnego z prawdziwą inteligencją zawodową, chyba w prowincjonalnych miasteczkach.

A priori dopatruje się łódzki socjolog samych cech ujemnych w charakterze szlachty i jej potomstwa społecznego. Na pewno nie było to anielstwo. Ale charakter szlachty polskiej jest charakterem całego narodu polskiego. Rosjanie zawsze zarzucali Polakom ową wstrętną dla nich "pańskość," indywidualizm, przywiązanie do zasad i fanatyczną miłość ojczyzny i wolności. Te cechy, które wykazywali zarówno szlacheccy powstańcy, jak chłopscy unici i robotnicy niepodległościowcy (m. in. właśnie w Łodzi, stolicy polskiego proletariatu) nie tylko na złe nie wychodziły narodowi polskiemu, ale zadecydowały o naszym istnieniu. Dobrze nam jest z naszą pańskością i szlacheckością charakteru nawet w sowieckich łagrach i posiołkach. Nie dobrze z tym zaś jest ideologom rewolucji. Nic dziwnego, że tak bardzo nie w smak im wpływ i znaczenie Sienkiewicza. Pomijając fakt, że Sienkiewicz jest pisarzem równie poczytnym w Polsce, jak n.p. we Włoszech i we Francji, znaczenie jego nie było nigdy społeczne ni klasowe. Przeciwnie społeczne powieści Sienkiewicza uchodzą za najsłabsze i nie znajdują prawie wcale entuzjastów. Sienkiewicz nie jest heroldem szlacheczyzny, lecz dumy całego narodu. On to podniósł zgnębiony uciskiem i klęskami naród, ukazując mu wielkość jego dziejów, tak jak w Czechach dokonał tego Wacław Hanka, ogłaszając względnie fabrykując rękopisy Królodworski i Zielonogórski. Sienkiewicz jest zarówno pokarmem mieszczan, jak chłopów i robotników polskich. Nie ma wątpliwości co do społecznych sympatii Sienkiewicza. Wszak to on jest autorem wstrząsających polskie sumienie społeczne nowel: "Za chlebem," "Szkice węglem," "Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela," "Janko muzykant." Trzeba być notorycznym wrogiem polskości, aby w tych nowelach nie dostrzegać najpiękniejszych uczuć dla pognębionych warstw narodu i wołania o naprawę krzywd społecznych.

Nie podoba się wojacka Sienkiewicza p. Chałasińskiemu. A jakaż to tematyka i ideologia wyrażona jest w czołowych płodach powieściowych "rewolucji polskiej," przyniesionej na sowieckich bagnetach? Co jest treścią najgłośniej przez reżim warszawski reklamowanych powieści: Hołuja "Próby ognia," Żukrowskiego "Z kraju milczenia," Putramenta "Święta kulo," Piętaka "Frontu na Wisłą"? Jeżeli Kali zjeść, to dobra. Jeżeli "rewolucja" prowadzi wojnę, to dobrze, lecz jeżeli naród polski prowadzi wojnę, to bardzo źle. Zbyt to jasne, by nie dojrzeć, dlaczego właśnie Sienkiewicz tak kłuje w oczy mocodawców "rewolucyjnych" ideologów. Oto twórczość Sienkiewicza jest wielkim wykładem, czym dla Polski są ziemie wschodnie, ile krwi i potu wsiąkło w polskie ziemie Ukrainy i Litwy, jaka była tam nasza rola historyczna. Trzeba to zbezcześcić i opluć rewolucyjną śliną, aby to miłe było Moskwie. Moskwa ma stare porachunki z Sienkiewiczem i każdy oświecceńszy bolszewik zna dobrze dzieła polskiego pisarza (autor tych uwag stwierdził to ze zdumieniem w Teheranie, rozmawiając z monterem dostarczonych przez Stany Zj. lokomotyw, młodym bolszewikiem).

Niektóre wywody Chałasińskiego, a trudno tu się zajmować wszystkimi, graniczą z farsą

ORZEŁ BEZ KORONY

Sto lat temu z górą, pod adresem złych mocy, dzierżących władzę nad Polską, Mickiewicz w swej "Reducie Ordona" taką skierował apostrofę :

Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy !
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy,
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy !

Dzisiejsi administratorzy Polski, pod inspiracjami Moskwy, usunęli znów koronę Piastów i Jagiellonów znad Białego Orła. Poszli pod tym względem dalej jeszcze niż komuniści czescy, jak się można było przekonać nawet na ulicach Londynu. W czasie wystawy, urządzanej niedawno przez ambasadę warszawską, na budynku, gdzie ona się odbywała, wywieszono flagę z orłem bez korony. Natomiast na plakatach, donoszących o festiwalu filmów czeskich w Londynie, widniał wszędzie u góry stary herb Czech : lew z koroną św. Wacława.

A może to i lepiej, że bolszewiccy uzurpatorzy nie używają prawdziwego herbu Polski ? Sami stwierdzają w ten sposób, że twór ich nie jest ani historyczną, ani prawną kontynuacją Państwa Polskiego, którego podstawy położyli tysiąc lat temu Mieczysław I i Bolesław Chrobry. Orzeł bez korony symbolizuje wszystkim fakt, że Polska niepodległości swej, na obszarze kraju, dotąd nie odzyskała.

Np. charakteryzowanie ideologii ruchu narodowego na podstawie skrzętnych wypisów z jednego, na własną rękę wyrażającego swe dyskusyjne poglądy pisarza (K. S. Frycza). Cytat z Giertycha bowiem (str. 142) jako żywo żadnej szlacheckości nie głosi. Taki preparat wystawia najlepsze świadectwo "naukowości" tez p. Chałasińskiego. Łatwo też dziś w Polsce odnosić zwycięstwa nad "endecją."

Zupełnie komiczne jest przypisywanie inteligencji wynalazku . . . życia towarzyskiego. Okazuje się, że życie towarzyskie, dobre wychowanie, gładkie maniery i salonik, to są zgniłe produkty poszlacheckiej inteligencji. "W mieście stosunki towarzyskie pozostały główną podstawą grupowej łączności inteligencji; znaleźć się poza sferą stosunków towarzyskich znaczyło odpaść od swoich, pozostać samemu albo stoczyć się do niższych warstw społecznych. Salonik to był podstawowy element inteligenckiego domu w mieście sprzed pierwszej wojny światowej " (str. 42). "Dobre wychowanie to naczelna zasada inteligenckiego ghetta, obowiązująca zarówno w życiu towarzyskim, jak i w poglądach i przekonaniach" (str. 45). Jak powszechnie wiadomo, życie towarzyskie wśród chłopów, robotników i mieszczan nie istnieje, saloniki i przyjęcia towarzyskie poza inteligencją nie są znane, dobre wychowanie to trucizna szlachecka. Wot, kultura. A u nas i woszobijki jest, i bania jest, i kino jest. Tylko że człowiek, patrzący na świat normalnie, wie doskonale, iż życie towarzyskie i skomplikowany jego rytuał w całej pełni są obserwowane szczególnie wśród chłopów i drobnych mieszczan, a w zaniku są w sferach inteligenckich, gdzie życie wyniosło się dawno z domu do kawiarni. I w jakimż kulturalnym społeczeństwie nie obowiązują wszystkich formy towarzyskie i dobre wychowanie?

Marzy p. Chałasiński o "chłopsko-robotniczym narodzie" polskim w przyszłości. Wiemy przecież, że to są klasy "trudiaszczysia" (pracujące). Inteligencja musi być im podporządkowana i stać się klasą "służiaszczą." Taka jest bowiem jej rola pod dyktaturą proletariatu. NKWD samo sobie da radę z resztą: z myśleniem, rządzeniem, wychowaniem, nauką, religią, prawodawstwem, kulturą. Do tego trzeba namówić Polaków. Wiedzą oni jednak ku nieszczęściu panów Chałasińskich od starodawnych czasów, że naród to nie są poszczególne klasy. Że nie ma "narodu chłopsko-robotniczego." Taka forma może istnieć tylko jako prymitywny lud, bez własnej woli politycznej, jako nawóz pod cudze istnienie. Unicestwienie każdej z warstw narodu jest śmiercią narodu, a co najmniej wiekowym letargiem. I do tego zmierza rewolucja sowiecka wobec narodu polskiego w odwet za nieubłagany jego opór. Do likwidacji historycznej warstwy przywódczej, do ujarzmienia duszy narodu polskiego i wprzągnięcia go do galer sowieckiej racji stanu. Dlatego nie ma dość mocnych słów na napiętnowanie zdradzieckiej pracy p. Chałasińskiego.

Inteligencja polska w większym może stopniu, niż inne warstwy narodu skrwawiła się w tej wojnie. Jeden z pierwszych, symbolicznych ciosów okupanta skierował się przeciw dumie polskości, profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego. Katyń był stosem ofiarnym inteligencji. Dziś przywódcza warstwa narodu polskiego, czy to będzie inteligent, czy chłop, mieszczanin czy robotnik (bo nie ma dziś już granic między Polakami), stoi w obliczu nowych Katyniów. Groby już kopią uczynni grabarze.

Być Polakiem, to znaczy poczuwać się do współuczestnictwa i odpowiedzialności za całą historię Polski, za całą jej duszę, za jej błędy nawet i wady, za cały naród polski we wszystkich jego warstwach i na całym obszarze.

JAN BIELATOWICZ

UWAGI

PO KONFERENCJI W MOSKWIE

Przemówienia zachodnich mężów stanu po powrocie z konferencji moskiewskiej nie wniosły zasadniczo nowych elementów do całokształtu obecnych stosunków międzynarodowych. Zarówno generał Marshall jak i brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin ograniczyli się do złożenia sprawozdania z przebiegu konferencji, która nie dała rezultatów ani w sprawie struktury politycznej przyszłych Niemiec, ani w sprawie ich jedności gospodarczej i wiążących się z nią odszkodowań wojennych. Zagadnienie procedury przy ostatecznym ustaleniu traktatu pokojowego z Niemcami oraz traktat pokojowy z Austrią również pozostały nieuzgodnione.

Mimo całkowitego niepowodzenia konferencji obaj ministrowie anglosascy tuż przed wyjazdem z Moskwy złożyli raczej optymistyczne oświadczenia o "postępie" dokonanym w rokowaniach. Oświadczenia te nie oznaczały jednak niczego innego, jak zwykły gest kurtuazyjny. Prasa amerykańska i angielska, zwłaszcza tą ostatnia tym razem, nie ukrywały faktycznego stanu rzeczy. Szczegółem interesującym natomiast było stanowisko prasy sowieckiej, która starała się dowieść, że konferencja mimo wszystko posunęła sprawy naprzód. Fakt, że Moskwa w audycjach radiowych we wszystkich językach starała się forsować tezę o rzekomo pozytywnych wynikach konferencji, świadczy jedynie o obawach przywódców sowieckich. Sam fakt rozbicia się "współpracy" między wielkimi mocarstwami wywołałby niewątpliwie niekorzystne reakcje w krajach, znajdujących się dziś pod panowaniem rosyjskim. Rosja zaś potrzebuje czasu i spokoju na wchłonięcie obszarów swojej strefy i dlatego, mimo wszystko, pragnie utrzymania fikcyjnej zasady porozumienia między mocarstwami. Fikcja ta, trwająca już dwa lata od końca wojny, oddała znakomite usługi polityce rosyjskiej. Z jednej bowiem strony umożliwiła Rosji polityczne i moralne rozbrojenie narodów, którym narzucone zostały rządy komunistyczne, z drugiej strony dała partiom komunistycznym na Zachodzie szanse rozbudowy ich organizacyj i ugruntowania wpływów.

NOWA POLITYKA AMERYKAŃSKA

Jeśli chodzi o dalszy rozwój sytuacji w stosunkach między wielkimi mocarstwami, decydujące znaczenie mieć będzie nowa polityka amerykańska. W tej chwili nieznany jest jeszcze jej praktyczny program na najbliższy okres. Takie sformułowania generała Marshalla jak: "nie można godzić się na kompromis dla samej zgody, gdy wielkie zasady wchodzą w grę", lub "nie można odkładać akcji w nadziei osiągnięcia kompromisu drogą wyczerpania", lub wreszcie "pacjent zapada coraz bardziej podczas gdy doktorzy deliberują" — oznaczają zamknięcie dotychczasowego okresu polityki amerykańskiej, okresu, w którym zakładało się, że porozumienie z Rosją drogą negocjacji jest możliwe do osiągnięcia. Polityka jednak nie może polegać wyłącznie na negatywnych założeniach, zwłaszcza gdy ekspansja przeciwnika jest dynamiczna i skoordynowana, bo wypływa z jasnego i konkretnego planu.

Tzw. doktryna Trumana, ogłoszona w pierwszych dniach konferencji moskiewskiej, również nie daje pełnego rozwiązania. Istota jej bowiem polega na utrzymaniu *status quo*: prezydent Truman zapowiedział, że odtąd dawana będzie pomoc amerykańska, gospodarcza i militarna, krajom broniącym swego ustroju demokratycznego przed totalizmem komunistycznym, zagrażającym im bądź z zewnątrz bądź od wewnątrz. Doktryna Trumana zatem może mieć zastosowanie w zasadzie jedynie do krajów, znajdujących się poza sferą wpływów sowieckich. Natomiast w odniesieniu do problemu całych Niemiec czy, Europy Środkowej nie stanowi ona sama w sobie praktycznego programu politycznego.

To też po powrocie do Waszyngtonu gen. Marshall, wzbogacony doświadczeniami moskiewskimi, powołał natychmiast do życia przy Departamencie Stanu specjalne biuro planowania amerykańskiej polityki zagranicznej. Oficjalnie nie wiadomo jeszcze, na czym ta nowa polityka Stanów Zjednoczonych będzie polegała i przy pomocy jakich środków będzie realizowana. Z fragmentarycznych wypowiedzi oficjalnych i głosów publicystów, stojących blisko Białego Domu, wyłaniają się jak dotąd jedynie zarysy planu amerykańskiego. Według Waltera Lipmanna, głównego publicysty *New York Herald Tribune*, najistotniejsze jego punkty są następujące:

1. W Chinach Ameryka zaproponuje utrzymanie stanu dotychczasowego, t. zn. gotowa jest wstrzymać się od udzielania pomocy rządowi centralnemu tak znacznej, że ten mógłby utwierdzić swoją przewagę na całym obszarze Chin; warunkiem jednak zasadniczym byłoby takie samo zobowiązanie Rosji w stosunku do komunistów chińskich.

2. Na Bliskim Wschodzie pomoc amerykańska udzielona Grecji i Turcji będzie miała jako cel osiągnięcie traktatu, który by ustalił definitywnie i gwarantował granice obu tych krajów. Jednocześnie Ameryka zaproponuje ostateczne rozwiązanie zagadnienia Cieśnin z tym, że Rosja otrzymałaby swobodę przejścia dla swoich statków handlowych w czasie pokoju, a w czasie wojny mogłaby przeprowadzać operacje militarne w ramach, ustalonych przez organizację Narodów Zjednoczonych. Oddanie posiadania Cieśnin Rosji jest wykluczone.

3. W sprawie Niemiec bezkompromisowe żądanie Ameryki pójdzie w kierunku politycznej decentralizacji Niemiec. Jeśli Rosja odmówi zgody, Ameryka przystąpi niezwłocznie, w porozumieniu z Anglią i Francją, do zorganizowania federacji niemieckiej, złożonej na razie z trzech stref zachodnich.

4. Jeśli chodzi o Europę jako całość, Waszyngton zaproponuje Rosji wycofanie wojsk aż po jej własne granice. Jednocześnie wycofane zostałyby wojska amerykańskie i brytyjskie. Równolegle z tym Ameryka zaproponuje ekonomiczne zjednoczenie Europy z tym, że Rosja nie przeszkodzi krajom Środkowej Europy w przystąpieniu do tej unii i poleci partiom komunistycznym w reszcie Europy nie przeciwstawiać się się takiemu zjednoczeniu.

5. Jeżeli tego rodzaju rozwiązanie w skali światowej zostanie przyjęte, Ameryka gotowa jest udzielić pomocy na zasadzie wojennego *lend-lease* dla pokojowej odbudowy gospodarczej. Gotowa jest również dać pomoc finansową i techniczną Rosji oraz zgodzić się na odszkodowania wojenne z bieżącej produkcji niemieckiej.

Punkty wyżej wymienione nie dają odpowiedzi na pytanie, co należy uczynić, jeśli Rosja odmówi swojej zgody. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że wówczas Ameryka wespół z Anglią i Francją przystąpią do uporządkowania i gospodarczej odbudowy na wszystkich obszarach, znajdujących się poza zasięgiem bezpośrednich wpływów sowieckich. Proces ten właściwie już się rozpoczął.

W Europie Zachodniej widocznym jego wyrazem jest postępująca zewnętrzna eliminacja wpływów komunistycznych (ustąpienie komunistów z rządów w Belgii, Francji, Włoszech) łącznie z równoległą pomocą finansową, płynącą do tych krajów z Ameryki.

Ten rozwój wypadków oznaczałby, że stosunki między Zachodem a Wschodem będą się coraz bardziej układały na płaszczyźnie równowagi sił. Być może, że przez szereg lat Sowiety nie dorównają swoim potencjałem gospodarczym, a zwłaszcza technicznym, Ameryce i stowarzyszonym z nią krajom. W rachunku sił jednak siła materialna nie jest jedyną.

INDIE

Premier Attlee oświadczył w Izbie Gmin w dniu 20 lutego br., że zamiarem rządu W. Brytanii jest przekazanie władzy "w odpowiedzialne ręce mieszkańców Indii" nie później niż w czerwcu 1948 r., oraz że jeżeli do tego czasu nie zostanie opracowana konstytucja dla Indii przez całkowicie reprezentacyjną konstytuantę Rząd J.K.M. rozważy możliwość przekazania władzy centralnej w jakiejś formie "rządowi centralnemu Indii Brytyjskich" albo istniejącym już w pewnych okręgach rządom prowincjonalnym, lub też uczyni to w inny sposób, jaki będzie wydawał się najlepszy w interesie Indii. Oświadczenie premiera Attlee zawierało również m.i. wiadomość o odwołaniu lorda Wavella ze stanowiska wicekróla Indii i nominację na jego miejsce kontradmirała wicehrabiego Mountbattena. Wedle tej deklaracji władza ma być: 1) albo powierzona w ręce odpowiedzialnego rządu centralnego, posiadającego poparcie mieszkańców Indii i wybranego na podstawie konstytucji, opracowanej przez zgromadzenie konstytucyjne, w którym wzięłyby udział wszystkie zainteresowane partie polityczne; 2) albo też w braku takiej konstytucji rząd Attlee zastrzega sobie możliwość przekazania władzy wedle swego uznania czy to w całości jakiemuś rządowi centralnemu, czy też rządom poszczególnych prowincji, czy wreszcie zupełnie nieokreślonym czynnikom lub instytucjom, które uznałby za najodpowiedniejsze do przekazania im władzy.

Zdecydowana zapowiedź opuszczenia Indii w czerwcu 1948 przez Brytyjczyków rozwiała zastrzeżenia mieszkańców Indii co do szczerości polityki brytyjskiej. Natomiast sformułowanie sposobu przekazania władzy dawało zachętę dwu zupełnie różnym tendencjom jak: a) dążności do porozumienia między wszystkimi rywalizującymi partiami, w szczególności między Partią Kongresu (Hindusi) i Ligą Mahometańską, co spowodowałoby udział tej Ligi jak i przedstawicieli Izby Książąt w pracach konstytuanty i opracowanie wspólnie jednolitej konstytucji dla całych Indii; rząd centralny wybrany zgodnie z tą konstytucją przejąłby następnie władzę od Brytyjczyków; b) dążności do pogłębienia antagonizmów między Hindusami, Mahometanami i księstwami, co w konsekwencji prowadziłoby do uniemożliwienia utrzymania Indii politycznie jednolitych.

Deklarację brytyjską powitały wszystkie stronnictwa z wielkim uznamiem, wyciągając z niej jednak wnioski, mające na celu zrealizowanie ich własnych celów politycznych.

I tak Pandit Nehru (Partia Kongresu) w oświadczeniu z dnia 22 lutego określił akcję rządu brytyjskiego jako "roztropną i odważną, usuwającą wszelkie podejrzenia co do właściwych intencji Brytyjczyków", i apelował do Ligi Mahometańskiej, aby przestała bojkotować zgromadzenie konstytucyjne. Wezwał również do zaprzestania walki wewnętrznej, która niweczy wysiłki i uniemożliwia postęp.

Organ Ligi Mahometańskiej *Dawn*, wychodzący w New Delhi, również z uznaniem powitał deklarację brytyjską jako "nowe podejście do problemu Indii". Dalej zaś organ ten stwierdza, że rząd brytyjski pośrednio w punktach 7. i 10. swego oświadczenia uznał obecne zgromadzenie konstytucyjne za ciało martwe. "Pan Attlee i jego koledzy — pisze ten organ — w końcu zrozumieli to, co Liga Mahometańska stale utrzymywała: że nadzieja na ułożenie ogólnie przyjętej konstytucji dla zjednoczonych Indii jest próżnym marzeniem".

Okazało się w praktyce, że deklaracja brytyjska, zamiast złagodzić różnice i zjednoczyć partie polityczne, jeszcze bardziej pogłębiła konflikty polityczne; została ona zrozumiana i interpretowana (może i słusznie) jako poparcie dla utworzenia niezależnego Pakistanu, jak i tendencji emancypacyjnych książąt indyjskich. Wypadki jednak nie zatrzymały się na tym; stwierdzenie przez rząd możliwości przekazania władzy nawet poszczególnym rządom prowincjonalnym spowodowało wyścig poszczególnych stronnictw o opanowanie tych rządów i dążenie do utrzymania się przy władzy do czerwca 1948, aby wtedy ostatecznie przejąć ją od Brytyjczyków.

Obecnie obserwujemy w Indiach zamiast uspokojenia jeszcze większe zamieszki i walki wewnętrzne.

Nowy wicekról przybył do Indii, aby stwierdzić od razu na miejscu, że w obecnej sytuacji nie może być mowy o wypracowaniu wspólnej konstytucji dla Zjednoczonych Indii i że trzeba porzucić myśli o rządzie centralnym, uznanym przez najważniejsze partie.

W takiej sytuacji powstają wątpliwości, czy znajdą się do czerwca 1948 "odpowiedzialne ręce", w które można będzie złożyć rządy w kraju. Niewątpliwie lord Mountbatten dołoży wszelkich wysiłków, aby to się stało. Wydaje się, że przedłoży on na konferencji z przywódcami indyjskimi, która ma się zebrać w dniu 2 czerwca, propozycje podziału Indii i przekazania władzy kilku niezależnym tworom państwowym, motywując to niemożliwością osiągnięcia porozumienia między poszczególnymi ruchami i frakcjami co do utworzenia rządu centralnego. Decyzja taka dałaby rządowi brytyjskiemu większe możliwości utrzymania w Indiach swoich wpływów czy to w charakterze pośrednika, czy arbitra, czy wreszcie sprzymierzeńca wśród rywalizujących między sobą państw indyjskich.

Niewątpliwie za wcześnie jest formułować ostateczne opinie i sąd co do deklaracji Rządu Brytyjskiego z 20 lutego b.r., ale w świetle dotychczasowych wypadków wydaje się, że była ona pociągnięciem koniecznym i — zręcznym.

SPRAWA PALESTYNY

Komitet Polityczny Zjednoczonych Narodów zdecydował w dniu 13 maja b. r. powołanie do życia specjalnej komisji badawczej dla problemu Palestyny. Wniosek Australii w tej sprawie został uchwalony 13 głosami przeciw 11, przy 29 wstrzymujących się od głosowania. W skład komisji wchodzą przedstawiciele następujących krajów: Kanada, Czechosłowacja, Gwatemala, Persja, Holandia, Peru, Szwecja, Urugwaj, Jugosławia, Australia i Indie. Wbrew stanowisku Rosji Sowieckiej w skład komisji nie weszli przedstawiciele głównych potęg.

Instrukcje uchwalone dla tej komisji są ogólnikowe. Ma ona przygotować do 1 września, t. j. do następnej sesji ogólnego Zgromadzenia Zjednoczonych Narodów raport "co do problemu Palestyny" i przedstawić wnioski dla jego rozwiązania. Komisja otrzymała jak najszersze pełnomocnictwa celem stwierdzenia i zanotowania faktów. Badania swoje komisja będzie prowadziła w Palestynie i wszędzie tam, gdzie uważać to będzie za pożyteczne; może ona przyjmować i badać materiały, pochodzące od państwa sprawującego mandat, od reprezentantów ludności palestyńskiej, od poszczególnych rządów, jak też organizacyj i osób prywatnych.

Instrukcje będące wynikiem kompromisu nie mogły zadowolić ani Agencji Żydowskiej, ani Arabów. W sumie jednak są one bardziej korzystne dla Żydów. Nie zawierają one proponowanej przez Arabów i popieranej przez Sowiety oraz ich satelitów wzmianki odnośnie przygotowania przez komisję planu co do niepodległości Palestyny. Przedstawiciel Arabów Faris Bej el Khowry (Syria) wyraził opinię, że jest to współudział Narodów Zjednoczonych w niemoralnej polityce Agencji Żydowskiej, zmierzającej do odroczenia zagadnienia niepodległości Palestyny aż do czasu, kiedy napływ Żydów da im w Palestynie liczebną większość i uczyni ich panami kraju. Zdaniem jego emigracja Żydów do Palestyny winna być wstrzymana aż do czasu, kiedy rząd niepodległej i demokratycznej Palestyny powziąć decyzje w tej sprawie.

Moshe Shetrok, będący na czele departamentu politycznego Agencji Żydowskiej, potwierdził obawy Faris Beja, oświadczając, że celem polityki syjonizmu jest utworzenie państwa żydowskiego, zaś nieodzownym elementem do realizacji tego planu jest nieograniczona emigracja Żydów do Palestyny, dlatego problem wysiedlonych Żydów w Europie jest ściśle związany z problemem Palestyny.

Za korzystną dla Żydów należy uważać możność prowadzenia przez komisję dochodzeń poza Palestyną, a więc w obozach dla wysiedleńców w Europie — a tym samym traktowanie zagadnienia Palestyny nie tylko z punktu widzenia lokalnego sporu żydowsko-arabskiego, lecz i w związku z problemem żydostwa europejskiego.

W czasie prowadzonych dyskusji Rosja i jej satelici atakowali przede wszystkim Wielką Brytanię jako państwo sprawujące mandat palestyński, upatrując w tym fakcie źródło wszystkich tych niepokojów i walk. Następnie zaś grupa sowiecka wyraźnie poparła tezy arabskie, jednak w rezultacie poniosła porażkę.

Stanowisko Sowietów w sprawie Palestyny ostatecznie zdefiniował przedstawiciel Sowietów Gromyko na plenarnym posiedzeniu Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych w dniu 14 maja b. r. Stanął on na stanowisku, że cokolwiek mogłoby się stać, mandat W. Brytanii nad Palestyną musi ustać. Najlepszym rozwiązaniem, które widzi, byłoby utworzenie dwunarodowościowego niepodległego Państwa Palestyńskiego, w którym Arabowie i Żydzi mieliby równe prawa.

W końcu, gdyby to okazało się niemożliwe, specjalny komitet winien przestudiować możliwości podziału Palestyny. W każdym jednak razie — zastrzegł p. Gromyko — Związek Sowiecki rezerwuje sobie zajęcie w tych sprawach stanowiska, kiedy nadejdzie czas powzięcia decyzji.

SPRAWY NAUKI W POLSCE

Problem nauki w Polsce — to nie jest jedynie problem zniszczonych uniwersytetów i bibliotek, obniżony poziom ogólnego przygotowania słuchaczy, brak sił naukowych i funduszów. W tej dziedzinie wiele nadrabia entuzjazm młodzieży i pełna zaparcia praca

naukowych sił pedagogicznych. Nie wystarcza to jednak. Reżim zainteresowany jest bardziej sprawą upolitycznienia wychowania i nauczania oraz ideologicznym opanowaniem młodzieży, jak sprawą stworzenia podstaw pod odbudowę nauki polskiej i jej instytucyj.

Charakterystyczną krytykę obecnego stanu rzeczy w Polsce na tym odcinku ogłosił b. ambasador rządu warszawskiego w Moskwie prof. Henryk Raabe w organie koncesjonowanej P.P.S. *Robotniku*. Przypominając wygłaszane stale deklamacje czynników rządowych o potrzebie rozwoju nauki analizuje on budżet Min. Oświaty w dziedzinie Szkolnictwa Wyższego i Nauki. Stwierdza że z 1.924 milionów zł. w budżecie Min. Oświaty 1.056 milionów — to wydatki personalne, 380 milionów — wydatki administracyjne, biurowe i rzeczowe, 214 milionów — wydatki na pomoc dla młodzieży; zostaje w rezultacie 130 milionów zł. dla 1555 katedr w 21 szkołach akademickich, co stanowi na jedną katedrę miesięcznie 7000 zł. Na pomoc nauce (zakłady badawcze, instytuty i towarzystwa naukowe) przeznacza się około 500 milionów zł.

Inną bolączką w dziedzinie nauki jest — zdaniem Raabego — uzależnienie najrozmaitszych instytucji naukowych i badawczych od poszczególnych ministrów, co grozi odciąganiem sił naukowych od pracy teoretyczno-badawczej, prowadzi je ku jednostronnemu utylitaryzmowi i grozi degeneracją tych ośrodków.

Ale nie wyczerpuje to istoty niebezpieczeństw, grożących nauce polskiej w kraju. Problem nauki jest to przede wszystkim bowiem problem jej wolności i niezależności. I na ten moment zwraca uwagę Raabe pisząc: "Organizacja nauki jest sprawą subtelną. Nauka rozwija się wybuchowo w momentach szczególnie przełomowych w dziejach ludzkości, przynosi wielkie zwycięstwa, ale wymaga traktowania ze znajomością życia i psychiki uczonego-twórcy. Od początku swego bytu rozwijała się tylko w atmosferze wolności badania i niezależności od wszelkiego przymusu, stąd też jej odradzanie się w okresach rewolucji i odrodzenia wolności sumienia. Istnieją dziś w literaturze pomysły chcące pchnąć u nas naukę na ścieżkę odrodzenia drogą "kierowania" nią przez ludzi poczciwych, ale stojących dość daleko od nauki. . . ."

Ludzie poczciwi, o których mówi Raabe, to po prostu komunistyczni rządcy Polski, usiłujący upolitycznić naukę w ramach reżimu i akcji sowietyzacji Polski, — ale dajmy prawo Raabemu jako człowiekowi reżimu do tej licencji w ich określeniu.

Wolność nauki w Polce zagrożona jest z wielu stron. Niedawno dopiero słyszeliśmy o planie mianowania docentów uniwersytetów nie przez Rady Wydziałowe, lecz przez jakąś Radą Ministerialną, co podważa jedną z najistotniejszych zasad wolnej kooptacji sił naukowych przez same uniwersytety.

Charakterystyczną ilustracją stosunku komunistów polskich do wolności nauki jest artykuł, jaki pojawił się w *Trybunie Wolności* pod tytułem "Profesor Bystroń i jego socjologia". Artykuł zaopatrzony jest dopiskiem redakcyjnym: "Z kół Wydziału Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego otrzymaliśmy następujące uwagi". Nosi on charakter denuncjacji, zarzuca bowiem prof. Bystroniowi głoszenie z katedry pochwały faszyzmu hitlerowskiego. Z toku wywodów wynika zresztą, że *Trybuna Wolności* nie miałaby wcale za złe prof. Bystroniowi, gdyby złamał naukową "neutralność" na rzecz innego — *Trybunie Wolności* miłego—poglądu politycznego, więcej nawet: domaga się tego wyraźnie.

Artykuł cytuje mianowicie wyjątek z wykładów prof. Bystronia, omawiający stosunek socjologii do aktualnych przemian polityczno-społecznych. Prof. Bystroń mówi: "W nauce socjologii nie będziemy oceniać ani wartościować jednego, lub drugiego ustroju. Nie będziemy zajmować się rozstrzyganiem sporu, czy słuszny jest faszyzm, czy demokracja. Ta sprawa nie leży w sferze zagadnień naukowych, a jest tylko wyrazem prywatnego światopoglądu". Zdanie to wyraża podstawową zasadę neutralności i obiektywizmu w t. zw. naukach społecznych — i jest to jedyna postawa, jaką uczony pedagog może przyjąć, szczególnie w wykładach uniwersyteckich. Stanowisko to atakuje *Trybuna Wolności*, operując zresztą argumentami nie mającymi nic wspólnego z nauką i żądając od nauki socjologii udowodnienia słuszności "systemu demokratycznego" (wiemy co to oznacza), a od prof. Bystronia prawdopodobnie propagandy aktualnej rzeczywistości politycznej z katedry zamiast wykładów naukowych.

W tymże samym numerze *Trybuny Wolności* znajdujemy polemikę z artykułem prof. Chałasińskiego p. t. "Problemy demokracji", analizującym zagadnienie marksizmu. Nie chodzi nam w tej chwili o wywody Chałasińskiego; interesuje nas zdanie, kończące artykuł polemiczny w *Trybunie Wolności*: "Czas najwyższy, by wielu naszych socjologów zrewidowało przesłanki, z których wyciągają swoje błędne — bijące mimo marksizmu, a bynajmniej nie godzące w niego — wnioski. Zapoczątkuje to istotnie twórczą, płodną drogę polskiej socjologii".

Nauka socjologii — jako uzasadnienie marksizmu — oto jedyne zadanie, jakie stawia się dziś w Polsce nauce i uczonym. Identyczny problem istnieje również i na innych odcinkach, co dowodzi, że ofensywa idzie na całym froncie.

W uchwałach, powziętych przez "ujednolicony" niedawno Związek Nauczycielstwa Polskiego, znajdujemy taką tezę: "Typ nauczyciela — idealisty — naukowca musi się przekształcić na społecznika. Proces demokratyzacji szkoły powinien się realizować przez udział nauczycielstwa w pracy obywatelsko-społecznej. Światopogląd nauczycielstwa musi być poszerzony o wiedzę socjologiczną".

Widzieliśmy już, co dziś w Polsce rozumie się przez "wiedzę socjologiczną". Jak ją rozumie Z.N.P. wyjaśnia domaganie się w dalszym ciągu wymienienych wyżej uchwał przez nauczycielstwo kursów ideowo-programowych, w czym powinny dopomóc państwowe i samorządowe władze szkolne. Odprawy polityczne mają być tym "poszerzaniem wiedzy socjologicznej".

Źle się więc dzieje z nauką i szkołą w Polsce. Fakt ten stwarza olbrzymie zadania dla naukowców polskich, a przede wszystkim polskich towarzystw naukowych za granicą. Trzeba i w tej dziedzinie uzupełnić brakujące w kraju ogniwa.

JACOBOVSKY I OSMAŃCZYK

Tygodnik ilustrowany *Przekrój*, wydawany w Krakowie przez reżimową spółdzielnię wydawniczą "Czytelnik", publikuje obecnie tłumaczenie sztuki scenicznej F. Werfla *Jacobowsky und der Oberst* (w krajach anglosaskich znanej p.t. *Jacobovsky and the Colonel*). O sztuce tej pisaliśmy na łamach "Myśli Polskiej" w roku ubiegłym, charakteryzując zmianę, jaka zaznaczać się poczęła od r. 1944 w produkcji teatralnej i filmowej krajów anglosaskich w odniesieniu do Polski i sprawy polskiej. Zmiana ta pozostawała w bezpośrednim związku z polityką *appeasement* i była przejawem przestawiania i "preparowania" opinii publicznej Zachodu w tym zakresie. W miejsce dzielnych polskich lotników i działaczy ruchu podziemnego na scenach i ekranach pojawiać się poczęły groteskowe postacie oficerów polskich, Polek-agentek Gestapo, rzekomych polskich "kolaboracjonistów," wreszcie nawet (jak w sztuce *Frieda*) SS-manów w mundurach armii gen. Andersa.

W sztuce Werfla, rozgrywającej się we Francji w czerwcu 1940 r., jedną z dwu głównych postaci jest pułkownik polski Sterbinski (Szczerbiński?), pyszałkowaty półgłówek, dziewkarz i bigot zarazem — paradujący publicznie ze swą "przyjaciółką", zwykłą prostytutką francuską, równocześnie zaś nie zapominający nigdy o różańcu. By wyśledzić rodowód tej postaci, zgoła nie oryginalnej choć "zmodernizowanej", sięgnąć by chyba należało do antypolskich paszkwilów Fryderyka II oraz niefortunnego utworu Henryka Heinego *Krampulinski und Waschlapski*, *Polen aus der Pollackei*. Werfel nie poszedł tak daleko i nawet wyposażył swego polskiego bohatera w pewne odruchy szlachetności, — niemniej jako typ narodowy jego Sterbinski jest postacią karykaturalną i nieprawdziwą, a równocześnie nie brak w sztuce niechętnych i krzywdzących uwag o Polsce, zwłaszcza o kampanii wrześniowej 1939 r. Nie brak i wyraźnych fałszów: do takich należy twierdzenie, jakoby rząd polski jeszcze przed upadkiem Paryża wymknął się do Londynu, choć, jak wiadomo, opuścił on Francję dopiero po jej kapitulacji.

W r. 1944 *Jacobowsky und der Oberst* ukazał się drukiem w języku niemieckim w Sztokholmie nakładem "Bermann-Fischer Verlag", niemal zaś równocześnie wystawiono tę sztukę w Nowym Jorku, Zurychu, Bernie Szwajcarskim, Sztokholmie, a także w londyńskim Piccadilly Theatre. Sztuka, napisana nie bez scenicznej zręczności i posługująca się różnymi chwytami psychologicznymi a nawet historiozoficznymi, miała podobno spore powodzenie wśród publiczności i krytyków w Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii. Jak słusznie stwierdza recenzent fryburskiego *Pamiętnika Literackiego* E. Lukas "wyrządziła nam ona ogromną krzywdę", gdyż "przemówiła ze sceny niesprawiedliwymi argumentami, które ośmieszają sens naszego wystąpienia i oporu przeciw zakusom niemieckiego imperializmu".

Podkreślić należy, że w Londynie znaleźli się jednak recenzenci, którzy sztukę Werfla odpowiednio w tym zakresie skwalifikowali. Sprawozdawca *Time and Tide* postać polskiego pułkownika wprost nazwał niesmaczną karykaturą, a recenzji przychylnych było bardzo niewiele. Tym bardziej zdumiewać musi, gdy na łamach wspomnianego już *Przekroju* współpracownik tego pisma p. Edward Osmańczyk chwali się, że to on właśnie "spowodował przetłumaczenie" sztuki Werfla i ogłoszenie jej na łamach *Przekroju*. Osmańczyk wypowiada przy tej okazji inne zdumiewające twierdzenie, określając postać Sterbinskiego, jako "podpatrzoną znakomicie".

Tak daleko nie zagalopowała się nawet redakcja *Przekroju*, która rozpoczynając w następnym numerze druk tłumaczenia zaznaczyła, że sztuka Werfla "nie jest obiektywna w ocenie postaci" oficera polskiego; w komentarzu tym uwidacznia się wyraźnie obawa przed reakcją czytelników polskich. Redakcja *Przekroju* utrzymuje jednak, że warto, by czytelnicy ci poznali sztukę, "bowiem w taki sposób patrzono na nas za granicą w czasie wojny".

Dokończenie na str. 13

KULTURA I ŻYCIE

Pierwsze wydania — Hollywood wytwarza fikcję — Nie przeminęło z plotką — Laur dojrzały — Pochylony nad wierszem

THE NATIONAL BOOK LEAGUE, która już urządziła kilka interesujących wystaw w lokalu swym na Albemarle Street, otworzyła ostatnio wystawę, poświęconą wyłącznie poezji angielskiej. Jest to starannie dobrana kolekcja pierwszych wydań — od Chaucera, poprzez sławne *Tottel's Miscellany* (1557 r.), wiersze Donne' a i epokowy tom romantyczny *Lyrical Ballads* (1798) — aż do zbiorów poezji Eliota i Dylana Thomasa.

Moda na fotograficzne odbitki pierwodruków powstała nie tylko wskutek sumienności w nowoczesnym badaniu tekstów literackich, lecz także jest wynikiem postawy dzisiejszego czytelnika, pragnącego umiejscowić każde dzieło w czasie: ta optyczna atrakcja druku utrwala autentyzm przeżycia intelektualnego. Jeszcze więcej jest autentyzmu w obcowaniu z pierwszym wydaniem; nic więc dziwnego, że wszyscy miłośnicy wielkiej poezji angielskiej śpieszą na wystawę Ligi Książki, aby ujrzeć otwarty egzemplarz *Paradise Lost* czy *Steps to the Temple*.

Subtelność organizatorów wyraziła się zarówno w ogólnym układzie eksponatów, jak i w szczegółach, np. książki otwarte są akurat na tych stronach, które zawierają najbardziej znane utwory (patrząc na nie, ma się niejako wzrokową antologię wierszy w perspektywie wieków).

Poza tym można spotkać na wystawie okazy druków poetyckich, dziś prawie zupełnie zapomnianych, choć spec powita je ze szczególnym wzruszeniem (do nich należą młodzieńcze publikacje Byrona, Wordswortha i Tennysona).

Kto chce utrwalić w pamięci plon tej wysoce wartościowej wystawy niech sprawi sobie za sześć szylingów kompilację. Johna Haywarda pt. *English Poetry. A Catalogue of First and Early Editions . . . from Chaucer to the Present Day* (Cambridge University Press).

* * *

E. Waugh, po powrocie z Hollywood, ogłosił dwa artykuły w *Daily Telegraph* (30 kwietnia i 1 maja). Zastanawia się on nad niektórymi przyczynami, które doprowadziły amerykańską rutynę filmową do tak katastrofalnego stanu, że byle przeciętny film brytyjski czy francuski bije dziś wartością każdy niemal obraz, wyprodukowany za Oceanem.

Słusznie zauważa autor, że wielkie studia amerykańskie znajdują się w oddaleniu 3000 mil od Nowego Jorku, centrum teatralnego, a 6000 mil od Londynu i Paryża dwu żywotnych ośrodków intelektualnych: ten dystans nie może mieć dobrego wpływu na reżyserów i autorów scenariuszy. Co więcej: typowy aktor hollywoodzki, którego niebaczny los skazał na przedwczesną sławę, żyje życiem sztucznym, jak cenny eksponat pod luksusowym kloszem. Otoczony jedynie gronem kolegów zawodowych, aktor zatraca poczucie rzeczywistości, nie rozwija się, nie ma żadnego kontaktu ze swoją publicznością, tkwi w tych samych manierach, do czego przyczynia się zresztą polityka reżyserów przy rozdzielaniu ról (kto raz otrzymał markę "czarnego charakteru", nie może sobie pozwolić na ryzyko zmiany koloru). Gwiazda musi być gwiazdą, musi być stale na ekranie: nie potrafi ona poświęcić własnej próżności na rzecz gry zespołowej, — stąd przepaść artystyczna między rolami głównymi i drugorzędnymi, chyba że reżyser lubuje się w typach (choć i tu standartowy efekt uniemożliwia prawdziwą oryginalność).

Przeciętny film kosztuje 2 miliony dolarów: żeby się opłacił wytwórni, musi zadowolić 20 milionów widzów. Handlowe wartościowanie dzieł ekranu nie pozwala na ryzyko: każdy film amerykański musi się podobać, to znaczy musi być wystarczająco banalny albo w fabule albo w wykonaniu, żeby przyciągnąć do tysiącznych kin owych 20 milionów wygłodniałych gwiazdomanów.

Świat fikcyjny zamiast świata autentycznego powstaje w splendorze hollywoodzkim; ta fikcja działa jak narkotyk. E. Waugh, chwaląc wyjątkowość Walta Disneya, pominął, rzecz dziwna, narzucający się argument krytyczny: Disney jest właśnie dlatego dobry w swoich koncepcjach, że wyciągnął ostateczne wnioski z owej "fikcyjności" amerykańskiego filmu. Fikcja, która dojrzewa do kształtów bajki, ratuje siebie samą przed zalewem nudy.

* * *

Publiczność filmowa jest zbyt masowa, żeby sobie wyrobić własne stanowisko krytyczne. Dlatego też nie należy się dziwić, że żeruje na niej łatwo reklama i plotka. Do czego zdolna jest plotka, można przekonać się z biuletynu jednej z firm filmowych, w którym czytam sprostowanie Margaret Mitchell, autorki *Przeminęło z wiatrem* (*Gone with the Wind*). Mitchell wyjaśnia cierpliwie publiczności filmowej, że nie jest ślepa, że nie dogorywa obłożona gipsem, że nie rozwiodła się mężem, i wreszcie, że nie została oszukana przy podpisywaniu kontraktu z wytwórnią filmową. Autorka *Przeminęło z wiatrem* ma nadzieję, że to sprostowanie oszczędzi jej sporo czasu; jak dotąd bowiem marnowała go na odpowiedzi listowne i telefoniczne. Nie współczujcie mi już więcej, zacni wielbiciele ekranu! — błaga Margaret Mitchell.

* * *

Dobrze się stało, że wśród wydawnictw *Świątpolu* znalazł się wybór wierszy i prozy Norwida, dokonany i opatrzony posłowiem przez polonistę M. Giergielewicza (*Laur dojrzały*, Londyn, 1946, str. 175). Jest to poeta szczególnie godny przypomnienia i studiów w obecnej naszej sytuacji, której sens stale spłyca dziennikarska analogia z Wielką Emigracją. Norwid bowiem nie był ani romantykiem, ani emigrantem literackim typu Mickiewicza czy Krasińskiego: jego rewizjonizm wobec materiału poetyckiego obejmował wszystko, co wizja poetycka mogła wydobyć z rzeczywistości, a więc i patriotyzm, a więc i własną przynależność do współczesności europejskiej. W "Niewoli" (którą, ze smutkiem trzeba stwierdzić, M. Giergielewicz pomija w swym rozsądnym wyborze, zamieszczając rzeczy poetycko wątpliwe jak "Praca", "Polka" i "Larwa") jest Norwid rewizjonistą w najlepszym tego słowa znaczeniu — i dziś dopiero, po wytarciu się sentymentalnych haseł polskich cierpiętników, widać jak wiele paradoksów mieści w sobie problem niewoli narodowej i niewoli osobistej.

Będąc wdzięczni wydawcy za inicjatywę i pracę redakcyjną w układzie tomu, żałujemy, że posłowie jego jest tak szczupłe i, przy udatnej lapidarności komentarzy, raczej popularyzatorskie, że nie stawia — w rzutach choćby szkicowych — poezji Norwida na tle rozwojowych nurtów poezji polskiej i europejskiej (G. M. Hopkins, Mallarmé, George i José Domenchina jako analogie), choć z drugiej strony sprawa ta prosi się o osobne studium. Tak samo wpływ Norwida na nowoczesną poezję wart jest wnikliwego rozpatrzenia (w "Posłowiu" natrafiamy ze zdziwieniem na porównanie rewaluacji językowych Norwida z felietonowymi chwytami Słonimskiego i Broniewskiego: zaiste nie można sobie wyobrazić bardziej chybionego porównania; tak jakby Anglik chciał tłumaczyć inowacje Hopkinsa wierszykami Waltera de la Mare).,

Pomimo tych marginesowych zastrzeżeń gorąco polecamy lekturę tomu *Laur dojrzały*.

* * *

Gdybyśmy mieli do dyspozycji literackie *panopticum*, wiersz p.t. *Pochylony nad tym narodem* (z nr. 18 *Wiadomości*, 4. V. 47) nie trafiłby aż do naszej kroniki. Ten tasiemiec dziewięcio–sylabowy zasługuje o tyle na uwagę, że godnie przedstawia stan obecny wierszorymarstwa polskiego. Oto co w nim czytamy:

"*Naiwnym łatwo pieniądz zły dać,*
I możny bankier się nie przeląkł,
Że doń powróci ten zły szeląg,
WYDANY na nas, by nas WYDAĆ,
I że mu kiedyś bank podkopie
Stracony kredyt w Europie".

(podkreślenia natchnionego autora).

Po tej subtelnej refleksji lirycznej, wiersz pochyla się jeszcze niżej:

"*Ach, nie poecie, lecz psychiatrze*
Sprawa się wasza przynależy.
Im bardziej z bliska na was patrzę,
Tym trudniej własnym oczom wierzyć,
Tym pełniej obraz się wyłania
OŚWIECONEGO ZACOFANIA.
Kochaliśmy was za to światło,
Za myśl szeroką humanisty,
Gdy państwo ludzkość bierze za tło"...*etc.*

Jeszcze jedna uwaga autora ma posmak wieszczy:

"*Można, trzasnąwszy pięścią w biurko,*
Na inne przenieść się podwórko".

Czytając podobne wierszyki w ojczystym języku, spogląda człowiek mimo woli na inne podwórko, gdzie już od stu lat takich utworów nie drukują.

J. P.

Londyn, 25 maja 1947.

Dokończenie ze str. 12

Rzecz w tym, że wcale tak nie było. Nie patrzono na nas w taki sposób tak długo, póki nie zostaliśmy porzuceni i przehandlowani, a i wtedy musiano się uciec do brzydkiego urabiania i preparowania własnych społeczeństw, które o Polakach wyrobiły sobie zupełnie inną, znacznie przychylniejszą opinię. Wtedy też pojawiła się moda na sztuki i filmy, ośmieszające lub oczerniające Polaków.

Stanowisko Osmańczyka w sprawie sztuki Werfla dowodzi, do jakich skaz obiektywizmu doprowadzić może tendencja samobiczowania się narodowego, ujawniająca się obecnie u znacznej liczby Polaków. Miast poddać nasz charakter i temperament narodowy zdrowej, trzeźwej krytyce, uwzględniającej we właściwych proporcjach światła i cienie, gotowiśmy popaść w tym zakresie, ku uciesze wrogów, w neurasteniczne przesady i skrajności.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Conte Galeazzo Ciano: JOURNAL POLITIQUE 1939-1943. Traduction integrale d'après l'original italien par S. et. S. Sterling Michaud. *Edition de la Baconnière.* Neuchatel. Dwa tomy, str. 321 i 290.

Obok tekstu francuskiego ukazało się wydanie angielskie: CIANO'S DIARY (1939-1943). Nakładem *William Heinemann Ltd.* Stron 575. Cena 21s.

Dziennik hr. Ciano barwnością swoją i szczerością przewyższa jakiekolwiek komentarze wydane dotychczas na temat ostatniej wojny. Sława jego nie prędko minie. Wszyscy będą się na niego powoływali, sympatycy Mussoliniego będą go zwalczali, przeciwnicy powiewali tymi rewelacjami w kampanii antyfaszystowskiej. Amerykanie, w których ręce dostał się ten dziennik, nie w innym celu go wydali. Nie ma zdaje się żadnych wątpliwości co do jego autentyczności i dobrej wiary. Najwyżej dziwić się można, że córka dyktatora, Edda Ciano, wypuściła ze swoich rąk utwór tak obniżający pamięć jej ojca. We Francji pamiętniki Caulaincourta, tak niekorzystne dla wielkości Napoleona, ukazały się prawie w sto lat po jego upadku. Ale dziś bieg wydarzeń toczy się szybciej, a mało kto krępuje się dawnymi skrupułami, czy dyskrecją.

Galeazzo Ciano był synem zasłużonego faszysty, a sam należał do drugiego pokolenia tego ruchu, do spadkobierców, którzy więcej korzystali i używali, aniżeli mieli rzeczywistych zasług. Wrodzony spryt skłaniał go do ostrożności. Wyczuwał, a nawet przewidywał możliwości, których wielki jego partner Mussolini nie brał w rachubę. Ta ostrożność i przewidywanie dają mu często pozory rozumu. Wzrusza i ujmuje kiedy z prostotą i szczerością wspomina sprawy rodzinne — śmierć ojca albo siostry. Równocześnie zdradza bez przerwy objawy choroby panującej nagminnie wśród polityków dzisiejszej doby — absolutny brak, gdy wchodzi w grę polityka, podstaw moralnych i poszanowania prawa. Wyróżnia się tylko tym od innych, że robi to bez cienia hipokryzji i obcy jest wszelkiej frazeologii czy ideologii. Jest to w całym znaczeniu tego słowa naiwny cynik.

W tej grze potwornej, za którą miliony ludzi krew przelały i która nazywa się polityką, Ciano śledził wypadki z punktu widzenia wygranej. Bladł ile razy stawka zdawała się stracona, trochę się uspakajał, kiedy powodzenie dodawało mu otuchy. W rezultacie był biernym wspólnikiem brutalnych i bezwzględnych posunięć swego pana. Ze względu na jego spryt i zdrowy rozsądek można by Ciano porównać do Sanszo Pansy u boku Don Kiszota — bo rzecz dziwna, Mussolini, arywista pozujący na Cezara, jak bohater sławnej powieści, był ogarnięty jedną przewodnią ideą, tak silną, że wyłączała wszystkie inne: czcią dla energii i siły. Nie walczył co prawda z wiatrakami, ale z uporem maniaka nałamywał do swoich poglądów rzeczywistość i bieg wypadków.

Żeby się zorientować w dwutomowym dziele, pełnym wydarzeń i szczegółów, trzeba wybrać pewne linie wytyczne i wedle nich uporządkować tok opowiadania. Kim byli faszyści drugiego pokolenia? Co mówił i jak reagował Mussolini? Co mówili inni, król, odgłosy opinii itd.? Jakie były wytyczne polityki włoskiej?

Polak, który by miał jeszcze dość sił i czasu, ażeby wszystkie klęski narodowe przypisywać sanacji, znajdzie w dzienniku hr. Ciano wiele okazyj do refleksji na temat rządów puszczonych samopas.

We Włoszech działo się wiele rzeczy *tout comme chez nous.* Istniał tam podobny zespół ludzi złączonych ze sobą tradycją wielkiej wygranej i powodzenia, ale skłóconych ze sobą i intrygujących, lekkomyślnych a często nieudolnych. Zarówno w Polsce, jak we Włoszech, biurokratyczna dyktatura łagodzona była przez obyczaje kraju. Nie trzeba również zapominać, że we Francji ustrój Drugiego Cesarstwa, nie nazwany jeszcze faszyzmem, był do niego zbliżony. Powstał on podobnie na skutek reakcji przeciwko demagogii czy anarchicznej demokracji, miał okresy świetności a jednak minął, bo ludzie zużyli się prędko i lekkomyślność i nieudolność zastąpiły sprawność i energię.

Co zrozumieć trudno a co dziennik Ciana wykazuje w pełni, to brak przygotowania Włoch i pod względem wojskowym i pod względem technicznym. Sny o potędze Mussoliniego nie miały podstaw realnych. Ciano pisze, że tężyzna wojskowa Włoch była o wiele większa przed rokiem 1918, niż po dwu dziesiątkach lat zszeregowanej dyktatury.

29 maja 1940 roku Ciano notuje: "Od dawna nie widziałem Mussoliniego tak szczęśliwym. Urzeczywistniło się największe jego marzenie. Został wodzem wojskowym swego kraju w czasie wojny."

Kartki dziennika hr. Ciano są jak krzywe zwierciadło. Zdaje się przedstawiać tylko ujemne cechy Mussoliniego. Chciałoby się stworzyć hipotezę, że Ciano tak uznawał wielkość Duce, iż słowa jego zapisywał jako wybryki albo kaprysy. A jednak powiedzeń tych jest tak dużo, że obraz ciemnieje. Największa ilość dotyczy pogardy dla własnego narodu. Mussolini głosił pochwałę gwałtu. "Gdy naród popada w życie roślinne można go uratować tylko za pomocą siły". W parę dni potem brak węgla napełnia go radością, gdyż ciężkie próby mogą wyrwać Włochów z wiekowego lenistwa. "Potrzeba im pałki, pałki i jeszcze raz pałki" — woła (7. II. 1940). Cieszy się z bombardowania Neapolu w nadziei, że "to wzmocni rasę". Pragnie, aby żołnierze włoscy w Albanii kradli, mordowali i gwałcili. Wynosi postać Fryderyka Wilhelma pruskiego, króla-feldwebla, właśnie dlatego, że posługując się pałką wyhodował Prusaków. "Ta wojna nie jest stworzona na miarę narodu włoskiego — brak mu dostatecznej dojrzałości i wytrwałości, aby znieść próby tak ogromne i tak decydujące. Ta wojna jest dobra dla Niemców i Japończyków, ale nie dla nas".

Ludzie, który widzieli w Mussolinim obrońcę ładu społecznego a zatem i tradycji, doznają znacznego rozczarowania czytając o objawach jego nienawiści — do monarchii, do Kościoła i Watykanu, nawet do religii. Dyktatorowi ciążą nawet luźne stosunki uprzejmości, jakie utrzymuje z królem Wiktorem Emanuelem. Nazywa to "ciągnięciem za sobą pustych wagonów". Odgraża się, że z wygraniem wojny przekreśli monarchię, a Hitlerowi zazdrości, że nie ma kłopotów z królem. W grudniu 1941 r. Mussolini oświadczył: "Boże Narodzenie dla mnie to tylko 25 grudnia, dzień jak każdy inny. Nie obchodzą mnie wcale uroczystości tego dnia". "A jednak — dodaje Ciano — kościoły są pełne"; a pod datą 5 kwietnia 1942 r. pisze: "Byłem na mszy w Santa Maria dei Angeli. Kościół był pełen pobożnego tłumu. Wątpię, aby Włochy przestały być, jak niektórzy by tego pragnęli, krajem rdzennie katolickim".

Tak co chwila zaznacza się rozbrat między pragnieniami wodza, a upartym, choć może biernym instynktem narodu. Włosi nie chcieli wojny, Włosi nienawidzili Niemców Włochów trzeba było podburzać sztucznie przeciwko Francuzom.

Jeżeli energia była jedyną cnotą, którą dyktator chciał zaszczepić Włochom, to szacunek dla siły był jedyną jego myślą przewodnią w polityce zagranicznej. Mówił o Turkach: "boją się napaści,— a zatem na nią zasługują". Nic dziwnego, że Niemcy mu imponowały. Po półtora roku sojuszu i współpracy, jako wynik spotkania z Fuehrerem, Ciano zapisuje pod datą 21 stycznia 1941 r.: "Po powrocie Mussolini jest *upojony*, zresztą tak jak za każdym razem, gdy się widzi z Hitlerem".

A jednak sojusz z Niemcami od pierwszej chwili był nacechowany brakiem wzajemnego zaufania i zupełną samowolą ze strony mocniejszego partnera. Na początku 1939 r. Włochy nie były gotowe ani dozbrojone i chciały konflikt odroczyć na parę lat. Zajęcie Czechosłowacji było dla nich przykrą niespodzianką. Tylko z pogłosek powtarzanych przez ambasadora Attolico w Berlinie Ciano "zgadywał", że gotuje się napaść na Polskę. Po rozgromieniu Polski Ciano łudził się, że wojna może być zakończona a zatem zlokalizowana. Życzył sobie wówczas pertraktacji pokojowych i snuł mgliste plany co do polskiej niepodległości. Rok 1939 Ciano kończył uwagą: "W tej chwili mowy nie ma abyśmy weszli do wojny. Nasz brak przygotowania jest zupełny".

Miłość własna Mussoliniego narażona była na ciężkie próby z powodu tej nieczynności. Dlatego przeklinał króla, zapominając o tym, że był on dawno usunięty od wpływów. Druzgocący upadek Francji uderzył mu dosłownie do głowy. Ostatnie rozmowy francuskiego ambasadora François Poncet są pełne znaczenia; dowodzą, że tylko w obronie własnej walczy się dziś o sprawiedliwość i słuszność. Ambasador powiedział więc, "że nie wierzy, aby Mussolini współubiegał się ze Stalinem o chwałę dobijania człowieka, który leży na ziemi", a w parę dni potem zawołał, że dla pozyskania Włoch Francja nie odda Korsyki, "która jest częścią ciała Francji!"

Wspólny atak na Francję przyniósł wkrótce Mussoliniemu szereg rozczarowań, bo korzyści, jakie mógł zdobyć, okazały się znikome, a nie godził się na względnie umiarkowaną politykę Hitlera w stosunku do pobitego kraju. Na dowód, że Mussolini nie troszczył się o ideologię, a obawy przed komunizmem używał dla propagandy, posłużyć mogą zapisane przez Ciano zabiegi Mussoliniego o zbliżenie z Rosją w przededniu popsucia się stosunków niemiecko-rosyjskich. To też Niemcy nie dopuściły do tego manewru. Z chwilą kiedy Hitler ruszył na Moskwę, polityka Mussoliniego przeszła nową przemianę, a raczej jego megalomania wyraziła się w nowej zachciance. Zaraz zaczął na front wschodni wysyłać dywizje, pomimo braku uzbrojenia i zabierając formacje z innych, rownie słabych frontów. Znowu bolesnym zawodem było dla niego wzięcie Odessy przez Rumunów. Czekały go jeszcze gorsze upokorzenia, bo niepowodzenia w Libii. Tobruk upadł, choć był uzbrojony w 1000 dział. Tu zastanówmy się na chwilę, co by zrobili Polacy, gdyby mieli 1000 dział w Warszawie! Komenda w Afryce i południowych Włoszech przeszła do Niemców, ale Mussolini zdawał się na to mniej czuły, niż na ciągłe zaskoczenia w polityce ogólnej. Hitler zwykle w nocy notyfikował mu swoje zamiary.

"Ja bym — wołał Mussolini — nie pozwolił sobie na budzenie lokaja w ciągu nocy, ale Niemcy każą mi wyskakiwać z łóżka bez najmniejszych względów !" (str. 47, tom II). Jako reakcja na tę zależność, w duszy dykatora obudziła się sympatia dla Japończyków. "To jest naród, — wołał —, z którym nie można sobie pozwolić na wyciąganie z łóżka cesarza albo pierwszego ministra o drugiej w nocy, ażeby im oznajmić powzięte albo już wykonane decyzje" (str. 127, tom II).

A jednak nie było już drogi odwrotu. Hr. Ciano coraz częściej zapisywał objawy wewnętrznego osłabienia Niemiec, niezadowolenie wyższych wojskowych z powodu niepowodzeń w Rosji. "Wszyscy — dodaje — są o tym przekonani, i wyżsi wojskowi i ludzie z otoczenia Hitlera, — ale nikt nie ma odwagi mu tego powiedzieć". Mussolini wołał ze swej strony : "Już 18 miesięcy wyczekuję na dobrą wiadomość, która nigdy nie przychodzi !"

To studium obłędu i pychy nie wymaga dalszych komentarzy. Niestety fałszywa wiara w siłę, której ofiarą padli obaj dyktatorzy, nie skończyła się z ich śmiercią. Lekceważenie prawa i szczęścia narodów trwa dalej. Objawy tej choroby są w tej chwili tylko powolniejsze i bardziej chroniczne.

JAN RAJECKI

Jędrzej Giertych: MY, NOWE POKOLENIE! Wydanie trzecie. Londyn, 1947. *Nakładem autora:* 16, *Belmont Road*, *London*, *N*.15.

Ukazała się ostatnio na terenie W. Brytanii książka Jędrzeja Giertycha "My, nowe pokolenie!" w trzecim wydaniu.

Książka została poprzedzona przedmową do wydania londyńskiego. Poniżej zamieszczamy charakterystyczny ustęp z tej przedmowy :

". . . grozi nam niebezpieczeństwo osłabienia Wiary. Żyjemy w przeważającej większości wśród społeczeństw protestanckich w dodatku owładniętych potężną falą indyferentyzmu — a w najlepszym razie, wśród społeczeństw takich jak Francja, gdzie katolicyzm jest siłą znaczną, ale podważaną przez prądy antychrześcijańskie. Atmosfera, panująca wśród tych społeczeństw, wywarła na ogromną część naszej emigracji wpływ złowrogi ; można bez wszelkiej przesady powiedzieć, że znamieniem naszej emigracji jest — religijny indyferentyzm. W ciągu tych siedmiu lat od wybuchu wojny, emigracja przebyła długą drogę ewolucji, polegającej na religijnym zobojętnieniu.

"A tymczasem kraj przebył w tym samym czasie równie długą drogę ewolucji w kierunku przeciwnym. O ile emigracja, w porównaniu do stanu społeczeństwa polskiego przed wojną, stała się o wiele mniej religijna, o tyle kraj jest dziś nieskończenie bardziej wierzący i praktykujący, niż przed wojną, nieskończenie żarliwszy, głębszy, w wierze swej konsekwentniejszy. Wiara jest właśnie jedną z tych wartości, których kraj przed naciskiem komunistycznego systemu najgoręcej broni, — jest tym kośćcem, o który wspiera się całe życie kraju, zdławione zewnętrznie, ale niepodległe duchem. Kraj, pomimo pozorów panowania w nim komunizmu, ze wszystkimi konsekwencjami jego materialistycznego i ateistycznego światopoglądu, żyje życiem, głęboko przesyconym pierwiastkiem duchowym ; jest on tak katolicki, jak nie był już od bardzo dawna. Emigracja, mimo, że uformowała się pod hasłem walki z panującym w Polsce komunistycznym systemem i mimo zewnętrznego zachowania form prawowierności katolickiej, grzęźnie coraz głębiej — na szczęście nie w całości, ale jednak w bardzo, bardzo dużym odłamie — w materialiźmie i bezreligijności. Jeżeli emigracja nie zawróci z drogi, po której się — pod tym względem — posuwa, między krajem, a emigracją powstanie głęboki rozbrat ideowy. Emigracja przestanie być wyrazicielką uczuć kraju i wolnym wyrazem jego duchowej postawy, — zamieni się w społeczność, która poszła własnymi drogami, stała się reszcie narodu obca i zamiast być między obcymi oazą najprawdziwszej i najszczerszej, a więc na wskroś katolickiej polskości, stała się echem i odblaskiem tych właśnie społeczeństw obcych. Jeśli już nie z innych powodów, to choćby z tego jednego, dla usunięcia tego duchowego przedziału, który ją od kraju dzieli, emigracja musi się religijnie pogłębić i odrodzić, musi wytworzyć w sobie mocny nurt religijnego życia, chrześcijańskiego w ogólności, a katolickiego w szczególności. Musi ona dociągnąć się do poziomu kraju, dostosować się do jego postawy i oblicza, musi się stać wyrazicielką na obczyźnie tych wartości duchowych, które kraj reprezentuje i bojowniczką tych ideałów, o które walczy,— a tym samym musi dokonać, w dziedzinie religijnej, wielkiej pracy nad sobą.

"Istotą tego, co się dzisiaj w świecie dzieje, jest walka świata chrześcijańskiego z antychrześcijańskim. Po raz drugi od czasu narodzenia się Islamu i od jego podbojów, które przekształciły w dziedziny muzułmańskie rozległe kraje, ongiś na wskroś chrześcijańskie (Syrię, Palestynę, Małą Azję, — cały w ogóle Bliski Wschód, a dalej Egipt, Afrykę Północną, tę Afrykę Północną, która wydała Świętego Augustyna, a wreszcie Konstantynopol, a nawet część Hiszpanii) — po raz drugi od owej groźnej epoki, narodziły się w świecie siły uosobione w komuniźmie, a przelotnie także w hitleryzmie, które sprzysięgły się na to, by świat chrześcijański, by religia chrześcijańska, by cywilizacje oparte o podstawy chrześcijańskie, by cały w ogóle byt narodów, odwiecznie żyjących życiem chrześcijańskim, doprowadzić do ostatecznej zagłady. To nieprawda, że w walce politycznej i duchowej, która dzisiaj światem wstrząsa, chodzi o walkę proletariatu z kapitałem, totalizmu z demokracją, i tak dalej, choć i te zagadnienia, rzecz prosta, też swój ciężar gatunkowy mają. Istotą zmagania, od którego przyszłość ludzkości zależy, jest walka chrześcijaństwa z antychrześcijaństwem, a raczej, nie wahajmy się nazywać rzeczy po imieniu !, walka sprawy Bożej z wypowiadającym Bogu bunt i wywierającym na to, co się dziś dzieje tu na ziemi, wpływ przerażający, Szatanem. Trzeba ratować chrześcijaństwo, ratować je zarówno w Polsce, jak w świecie. I trzeba pamiętać, że wielu ludzi, którzy mimo woli służą Szatanowi, jest i po tej stronie barykady, po stronie, która się totalizmom i dyktaturze proletariatu przeciwstawia. Aby w tej walce zwyciężyć, to nie dość jest mieć pieniądze, karabiny, samoloty, okręty, fabryki, bomby atomowe. Aby w tej walce zwyciężyć, trzeba mieć — moc ducha. Polska jest dziś jedną z najpotężniejszych twierdz ducha, jednym z najmocniejszych bastionów broniącego się przed naporem sił Antychrystusowych chrześcijaństwa ; a zarazem jedną z najżywotniejszych oaz starej, prawdziwej, cywilizowanej, przez Antychrysta skazanej na zagładę, chrześcijańskiej Europy. Bądźmy, my tu, na emigracji, wolnym niezakneblowanym głosem tej chrześcijańskiej Polski, tej Polski, która chce pozostać sobą, chce pozostać wierna tradycjom Lignicy, Warny, Chocimia i Wiednia, tradycjom Piotra Skargi i księdza Kordeckiego, Jadwigi i Świętego Kazimierza, Oleśnickiego i Hozjusza, Świętego Stanisława i Świętego Andrzeja Boboli, Żółkiewskiego i Traugutta ; tej Polski, która skupia się u stóp Jasnej Góry i Ostrej Bramy i która właśnie ostatnio, w dniu 8 września 1946 roku zgromadziła się na Jasnej Górze pielgrzymką dla złożenia narodowych ślubowań, w której wzięło blisko półtora miliona Polaków i Polek. — A skoro chcemy być cząstką i wyrazem tej chrześcijańskiej, katolickiej Polski, to musimy być chrześcijanami i katolikami — sami. Musimy być emigracją na wskroś katolicką. Czy nią jednakże jesteśmy ?"

PIĘCIOLECIE "THE VOICE OF POLAND"

Pięciolecie tygodnika ilustrowanego *The Voice of Poland*, ukazującego sie w Glasgowie, może być przedmiotem dumy dla jego dzielnej, niestrudzonej wydawczyni i redaktorki, p. Jadwigi Harasowskiej. Pismo to, wychodzące początkowo pod dwujęzycznym nagłówkiem *Ogniwo Przyjaźni — Clasp o' Friendship*, od początku drukowane było w dwu językach : polskim i angielskim i służyło informowaniu Brytyjczyków o Polsce i sprawie polskiej oraz pogłębianiu przyjaźni między obu narodami. W tej dziedzinie położyło niewątpliwie bardzo poważne zasługi.

Mimo niezmiernie trudnych warunków finansowych i technicznych *The Voice of Poland* — jedyne dziś pismo polskie w Wielkiej Brytanii drukowane głównie w języku angielskim — ukazuje się nadal i to w szacie ulepszonej jeszcze od stycznia rb. pod względem graficznym. Każdy numer zawiera artykuły polityczne omawiające stan sprawy polskiej, teksty angielskie najważniejszych dokumentów z tego zakresu, ilustrowane artykuły krajoznawcze i kulturalne, dotyczące Polski, wreszcie interesujący wyciąg głosów prasy i kronikę stosunków polsko-brytyjskich.

Prenumerata *Voice of Poland* (kwartalnie wraz z przesyłka 7s. ; adres : Mrs. J. Harasowska, 250 Hope Street, Glasgow C.2) jest niewątpliwie jednym z najpożyteczniejszych podarunków, jakie Polak w tym kraju może zrobić swym brytyjskim przyjaciołom czy znajomym.

Wydawnictwu *Voice of Poland* składamy na jego pięciolecie najlepsze życzenia.

ZMARŁA W WALCE O POLSKĘ

W ostatnich dniach kwietnia 1947 zmarła w Niemczech po dłuższej chorobie ś.p. Helena Olszewska, podporucznik A.K., instruktorka szyfrów w Armii Krajowej, działaczka narodowa, żona jednego z wybitnych członków Stronnictwa Narodowego, kol. Witolda Olszewskiego.

Ś.p. Helena Olszewska rozpoczęła pracę w organizacjach podziemnych na terenie Kujaw i Pomorza w r. 1940. Po przyjeździe do Warszawy pracowała początkowo na punkcie łącznościowym, potem, jako wykładowczyni kursów szyfrantek. W czasie powstania warszawskiego pełniła funkcję szyfrantki Komendy Obszaru A.K. w stopniu podporucznika. W uznaniu zasług została odznaczona Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Po kapitulacji Warszawy ś.p. Helena Olszewska przebywała w obozach jenieckich. Natychmiast po uwolnieniu i spotkaniu się z mężem, również uwolnionym z niewoli, rozpoczęła się dla ś.p. Olszewskiej nowa praca, której poświęcała tyleż energii, co każdej pracy dla Polski. Razem z mężem pracowała w wydawnictwie "Polska", "Kronika Dnia" w Doessel, a wreszcie od początku r. 1946 w "Informacji Polskiej" kierowanej przez ppor. Olszewskiego. Niestety, energia nie mogła nadążyć za nadszarpniętym w konspiracji i w niewoli stanem zdrowia. Śmierć przerwała to bardzo młode i tak bardzo duchem niestrudzone życie w czasach, gdy do grobu nawet towarzyszy troska o walczący naród. Pogrążonemu w głębokim żalu koledze Olszewskiemu składamy nasze serdeczne wyrazy współczucia.

LISTY DO REDAKCJI

(*Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy*).

OFIARNOŚĆ ZORGANIZOWANA

Szanowny Panie Redaktorze,

Wdzięczny będę za udzielenie mi na poczytnych łamach *Myśli Polskiej* miejsca dla poniższych uwag, które wydają mi się na czasie.

Weszliśmy obecnie w stadium zbiórek: jedna — na powodzian — była nadzwyczajna, bowiem wywołana żywiołową klęską, która na szczęście nie co rok się powtarza, druga — na fundusz szkolno-oświatowy 3 Maja — jest składką doroczną. Dobrze i słusznie się stało, iż podjęto tę piękną tradycję, kultywowaną w Polsce w ciągu całego 20-lecia przez Polską Macierz Szkolną, Towarzystwo Szkoły Ludowej i Towarzystwo Czytelń Ludowych, stosownie do zasięgu ich działania. Środków na cele kulturalno-oświatowe potrzebujemy na obczyźnie jeszcze bardziej niż potrzebowaliśmy ich w kraju. Tam chodziło głównie o szkolnictwo powszechne początkowe; tu chodzi o powszechność akcji przetrwania narodowego, a więc o możność działania na wszystkich polach, na których świadomość narodowa urasta. Im akcja ta wszechstronniej się rozwinie, wszerz i wgłąb, to jest terenowo i jakościowo, tym wynik będzie lepszy. Słusznie tedy akcji nie ograniczono do terenów przebywania wychodźtwa naszego, politycznego i czasowego, ale rozciągnięto ją również na tereny emigracji starej, zarobkowej. Tu i tam znajduje się rezerwat istnień polskich, cenny dla ojczyzny i jednakowo potrzebujący trwałego związku z polskością.

Trzeba sobie wyraźnie zdać sprawę, jakie stają przed nami potrzeby i jakim obowiązkom sprostać będzie należało. Jest to może zagadnienie proste samo w sobie, ale od jego rozstrzygnięcia zależy kolejność zaspokajania potrzeb, których jest bardzo wiele. Tyle, ile stawia ich przed nami istnienie naszej odrębnej od innych kultury narodowej. Im większe będzie rozproszenie Polaków po świecie, tym trudniejsze się staną wypełnienie zadania.

Na plan pierwszy wysuwa się, jak zawsze, szkolnictwo początkowe, bowiem ono warunkuje ciągłość istnienia w odrębności narodowej. Tam, gdzie to będzie możliwe, trzeba starać się o polskie szkoły dla dzieci, z uwzględnieniem warunków lokalnych pod względem programu i nauki języka miejscowego. Gdzie nie uda się tego osiągnąć, dzieci muszą mieć uzupełniające godziny nauki języka polskiego i wykładów o Polsce, w związku ze szkołą lub poza nią, zależnie od możliwości.

Druga rzecz — to książki. Potrzebne są one nie tylko dla prowadzenia nauki w szkole, ale i dla czytania pozaszkolnego, potrzebne dzieciom i dorosłym. Więc podręczniki, więc wydania klasyków, więc wydawnictwa, uwzględniające twórczość własną, o ile ona powstanie. W naszych warunkach, gdy wydawnictwa krajowe znajdują się pod całkowitą kontrolą obcą, nie można liczyć na uzupełnianie braków przesyłkami z Polski. Musi być na wychodźtwie ruch wydawniczy i rynek księgarski, odpowiednio zaopatrzony. Niewątpliwie i dla kraju będzie płynęła stąd korzyść, mimo wszelkich trudności w przenikaniu wydawnictw, drukowanych za granicą.

Trzecia sprawa — to periodyki. Zarzucano nam w Wielkiej Brytanii zbytnią pochopność w wydawaniu pism codziennych i tygodniowych. Był może moment inflacji czasopism, ale się dawno skonczył. Krytycy zapominali, że wychodźtwo reprezentuje w skrócie całość i wszechstronność polskiej myśli politycznej, że — co za tym idzie — trudno mu stwarzać wydawnictwa tak eklektyczne, żeby mogły być odpowiednie dla wszystkich. Zresztą krytyka ta przeważnie nie płynęła z życzliwości, ale z dążenia do rozłożenia emigracji w imię obcych nam, jeżeli nie wrogich celów. Oczywiście, musi być w naszym własnym interesie stosowana oszczędność i dobra gospodarka w akcji wydawania periodyków. Powinno się zwalczać próby stwarzania efemeryd lub pism, służących jedynie ambicjom osobistym. Natomiast dążyć trzeba do tego, by każdy Polak na wychodźtwie czytywał stale przynajmniej jedno pismo polskie, aby przez nie czuł się złączony ze zbiorowością polską, jej troskami i problematami. I tu obowiązywać musi to, co było wyżej powiedziane o książkach: periodyki krajowe, gdyby nawet były nam dostępne, nie mogą spełniać wobec nas zadania, nawet informacyjnego. Musimy mieć swoją prasę — codzienną, tygodniową i miesięczną, ogólno-informacyjną, a także pisma dla dzieci.

Wreszcie ostatnia, ale bardzo ważna sprawa, która jest właściwie nadbudową nad całym naszym życiem wychodźczym, to stowarzyszenia. Nie wyłączając naturalnie istnienia zgrupowań politycznych tam, gdzie zbierze się dostatecznie liczna grupa ludzi, jednakowo politycznie myślących, dążyć trzeba do stwarzania wszędzie organizacyj typu społecznego, jako mogących złączyć na jednej platformie największą ilość rodaków. Tu mogą wchodzić w grę najróżnorodniejsze typy organizacyjne: kluby, samopomoce, stowarzyszenia sportowe i inne, które zresztą Polacy na całym świecie nie od dziś i dość łatwo tworzą. Dla młodzieży powinno istnieć harcerstwo, mające mocne oparcie o skauting międzynarodowy. Tam, gdzie powstanie stowarzyszenie, już będzie łatwiej o porozumienie z organizacjami centralnymi, a więc o pomoc w potrzebie i o informacje. Szkoła i prasa, chociaż by w formie rudymentarnej, zawsze ma oparcie w stowarzyszeniach. Zresztą istnieje w tej chwili silny pęd do wiązania się w organizacje zbiorowe i do stwarzania nad nimi nadbudówek centralnych. Nie chodzi więc mi o wybijanie drzwi otwartych, ale o podkreślenie, że wszystkie punkty, które tutaj wymieniłem, wymagają funduszów.

Funduszem 3 Maja można gospodarować centralnie, stwarzając rodzaj Skarbu Narodowego na cele oświatowo-kulturalne, można też obracać nim decentralistycznie, pozostawiając każdemu środowisku troskę o zbiórkę tego, czego mu potrzeba. W tym drugim wypadku środowiska mniejsze i uboższe mogą mieć wielkie trudności w osiągnięciu celu, który wszystkim jednakowo jest drogi, a mianowicie w uchronieniu rzesz wychodźczych od wynarodowienia. To też zasadnicze zcentralizowanie akcji wydaje się konieczne, zwłaszcza dla środowisk nowych, jeszcze nie aklimatyzowanych, a przez to podatnych na wpływy obce.

Tak czy inaczej, zbiórka Majowa powinna być dla każdego Polaka na obczyźnie momentem ofiarności osobistej. Złożenie ofiary jest aktem poczuwania się do wspólności narodowej, stawieniem się imiennym do apelu, czynem w walce o polskość własną o polskość swych dzieci i o polskość swych braci. Jeżeli pozwoliłem sobie na tak długi wywód w tej wydawałoby się bezspornej i zrozumiałej sprawie, to dlatego, że jest to sprawa pierwszorzędnej wagi. I w samym założeniu, i w wyniku. Bowiem bez własnego funduszu niczego nie dokażemy. Będziemy musieli oglądać się na obcych, ulegać ich decyzjom, które mogą być sprzeczne z nakazem naszego sumienia narodowego.

Ostatnia jeszcze uwaga: gospodarka funduszem musi być prowadzona wszędzie tak, aby nikt nie mógł zarzucić, że służy on nie ogólnemu interesowi Polski, ale ludziom czy ugrupowaniom. Dlatego społeczny charakter funduszu powinien być zapewniony, z wyłączeniem momentów politycznych, które zaspokajane być muszą inaczej. Niewątpliwie cała nasza nowa emigracja jest emigracją polityczną, bo taki jest motyw, który ją trzyma poza krajem. Ale jej instytucje użyteczności publicznej, jak szkoły, pisma informacyjne, akcja najpotrzebniejszych wydawnictw książkowych, wreszcie grupujące ogół wychodźczy stowarzyszenia muszą nosić charakter ogólno-polski i ponadpartyjny. Tylko wtedy spełnią należycie i wszechstronnie swe ważne zadanie: przechowania w całości skarbu świadomości narodowej, innymi słowy — zachowania Polaków dla Polski. Gdybyśmy tego nie mieli ciągle przed oczami, nasze czasowe wychodźtwo, podjęte w imię interesu ojczyzny, nie dobro by jej przyniosło, ale szkodę.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania i koleżeńskie pozdrowienie.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Londyn, dnia 12 maja 1947 r.

Treść *Nr.* 111 (*Rok VII, Nr.* 16) **"Myśli Polskiej"**

"SCHIZMA" NASZYCH CZASÓW; O NIEKTÓRYCH FIKCJACH I KONCEPCJACH — Marian Emil Rojek; POLITYKA JAGIELLONÓW — Tadeusz Piszczkowski; ODWIEDZINY — Wiktor Trościanko; OD PODSTAW — F.; IDEOLOGIA ZAPRZAŃSTWA — Jan Bielatowicz; ORZEŁ BEZ KORONY; UWAGI: Po konferencji w Moskwie — Nowa polityka amerykańska — Indie — Sprawa Palestyny — Sprawy nauki w Polsce — Jacobovsky i Osmańczyk; KULTURA I ŻYCIE; PRZEGLĄD WYDAWNICTW; LISTY DO REDAKCJI — Ofiarność zorganizowana — Antoni Bogusławski.

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie,
ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street,
London, W.8. Tel. WEStern 1797.
Prenumerata półroczne (6 numerów)
12s. lub $4.
Prenumerata roczne (12 numerów) —
£1. 4s. 0d. lub $8.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1. June, 1947.